



ROK LVIII

PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIEK

NR. 50

WARSZAWA, 12 GRUDNIA 1925 ROKU.

TREŚĆ NUMERU: Kobiety w urzędach państwowych—*St. Sasorski*. Na marginesie artykułu p. t. „Protestujmy”—*N. Samotyhowa*. Kartka z dziejów katolicyzmu w Rosji w pierwszej połowie XIX wieku (c. d.)—*R. M. Blüth*. Świat kobiecy (c. d.)—*Marja Grossek-Korycka*. Charmettes—*Helena Boguszewska*. Wiersze: „Epitafjum”—*Zofja Wojnarowska*. Zdrada (nowela)—*Włodysław Rymkiewicz*. Pan w futrze (nowela)—*Hanna Skarbek*. Ś.p. Cecylja Bogucka—*F. Jurgielewiczówna*. Na marginesach życia. Kobieta w świecie i w domu—*Z. B.* Pierwsza zawodowa szoferka w Warszawie—*Z. F.* Kartki z życia—*al.* Z teatrów—*Z. P.* Dział praktyczny: Mody i roboty. Jabłuszka i szyszki. Dancingi i lekcje tańca—*W. L.* Długie czy krótkie włosy. Batik—*M. Zawadzka*. Rośliny „znoszące cień”—*Stan. Schönfeld*. Dawniej i dzisiaj—*Pani Elżbieta*. Wieczere wigilijne. Przepisy gospodarskie—*Pani Elżbieta*. Dobre rady. Korespondencje działu praktycznego. Dodatek powieściowy: „Bajka o Alladynowym pierścieniu” (dokończenie)—*L. M. Rogowski*.
ARKUSZ WZORÓW.

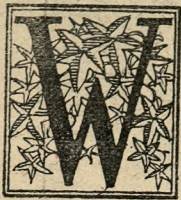
Zmarł wielki pisarz i artysta — Władysław Reymont.

Wyśpiewał o ziemi—rodzicielce najpiękniejszy poemat, przed którym nie tylko swoi, ale i obcy uderzyli czołem.

W słowa poezji zaklął uroki polskiej wsi, tajemny wdzięk rozkwitającej wiosny, ciszę rozpalonych w słońcu łąnów pszennych, a nade wszystko ponad śmierć silniejsze ukochanie ziemi przez chłopca polskiego. Przez całe wieki i stulecia szła przez literaturę polską ta wielka miłość: szumiała cichym szelestem deszczowych kropli w modlitwie Jana z Czarnolasu, płonęła ogniem bezbrzeżnej tęsknoty w mickiewiczowskim poemacie, zrodzonym na paryskim bruku, od rejowskiego żywota człowieka poczciwego, aż po twórczość ostatnich dni—mówiła ustami polskich poetów słowa ukochania, ale nigdzie i nigdy nie wybuchnęła takim gorącem, takim żarem mocarnego, niemożonego uczucia, jak w „Chłopach”.

Niech wieńce wite z polskich zbóż pokryją mogiłę wielkiego pisarza.

KOBIETY W URZĘDACH PAŃSTWOWYCH



W kołach urzędniczych niejednokrotnie (przynajmniej teoretycznie) stawiane jest pytanie czy w traktowaniu przez władze kobiet, pracujących w urzędach państwowych, nie przejawia się jakaś niekorzystna dla nich specjalnie tendencja np. przy nadawaniu stopni służbowych, awansach, stabilizacji, zwalnianach itd. Pytanie to jest zupełnie zrozumiałe, gdyż w zasadzie nie jest wykluczonem, że niektórzy kierownicy urzędów, których pojęcia o pracy zawodowej, a specjalnie biurowej, administracyjnej, kobiet kształtowały się w warunkach przedwojennych, kiedy praca zarobkowa kobiet należała do rzadkości (z wyjątkiem niektórych dziedzin, jak szkolnictwo) — niedostatecznie zdają sobie sprawę z przewrotu, dokonanego pod tym względem przez wojnę i ogólny kryzys powojenny. Nie chodzi tu już tylko o opinię o kwalifikacjach kobiet, ale o pogląd, że w zasadzie mężczyzna jest obowiązany do utrzymywania rodziny, kobieta zaś do gospodarowania wewnątrz domu, wychowywania dzieci i pozatem do udziału w pracach społecznych o charakterze kulturalnym i humanitarnym. Z tym poglądem łączy się drugi, że kobieta nie traktuje normalnie swego warsztatu pracy, jako stały zawód i prędkiej, czy później przez zamążpójście, lub poprawę położenia materialnego męża opuści urząd. W obecnych warunkach gospodarczych nadto może być brany pod uwagę jeszcze jeden wzgląd, że praca zarobkowa kobiet zamężnych, lub pozostających na utrzymaniu rodziny, utrudnia zdobycie środków do życia zarówno kobietom, jak mężczyznom, znajdującym się bez pracy i bez tego minimum utrzymania, jakie daje sytuacja osób, mających możliwość zaspokojenia swoich elementarnych potrzeb gospodarczych. Na tem tle spróbuję rozpatrzyć na życzenie wyrażone przez Sz. Redakcję „Bluszczu” — na wstępie zaznaczone pytanie.

Otóż, jeżeli chodzi o sprawę stopni służbowych awansów urzędniczych w związku z przygotowaniem teoretycznym, kwalifikacjami służbowymi oraz w związku z wiekiem i ilością lat służby — to trudno z całą ścisłością stwierdzić, czy jest w urzędach jakieś krzywdzenie kobiet. Daty, podane przez Główny Urząd Statystyczny w pracy p. t. „Funkcjonariusze państwowej służby cywilnej” (Warszawa, 1925 r.), świadczą o tem, że pod tym względem kobiety w urzędach nie są traktowane gorzej od mężczyzn.

Nie mamy cyfr, któreby wskazywały, jaki jest stosunek procentowy kobiet do mężczyzn pod względem charakteru służbowego, t. zn. ile jest kobiet wśród urzędników mianowanych na stałe, ile wśród urzędników prowizorycznych, a ile wśród pracowników kontraktowych. Z obserwacji jednak sądząc, oddziaływanie poglądów wyżej zaznaczonych wpływa na to, że stosunkowo mniej jest kobiet, mianowa-

nych na stałe, niż mężczyzn, oraz że stosunkowo więcej kobiet odpada przy redukcjach. Wniosków jednak nie można stąd wyprowadzać dopóki się nie ujmie całokształtu zjawiska, gdyż wrażenie i powierzchniowe obserwacje często zawodzą.

Ważnem byłoby, zdanie sobie sprawy z tego, czy przy stabilizacji urzędników, mianowanych na stałe, dokonywanej przez władze w ciągu b. roku, nie wyłączało kobiet w większym stopniu, niż mężczyzn, oraz czy ujemne konsekwencje, jakie z tego wynikają, nie dotyczą urzędniczek w większym stopniu, niż urzędników. Odpowiedź na to pytanie nie jest prosta. Na podstawie ustawy o państwowej służbie cywilnej z dnia 17 lutego 1922 r. i następnych nowel do tej ustawy wynika, że władza ma obowiązek w określonym terminie, ostatnio do końca b. r., zdecydować, którym z urzędników, mianowanych na stałe, można i należy przyznać t. zw. prawo względnej nieusuwalności, przewidziane art. 33 tej ustawy, a których należy zwolnić, lub zatrzymać, w służbie w charakterze urzędników prowizorycznych, lub kontraktowych. Różnica między temi rodzajami urzędniczymi, jak wiadomo, polega na stopniu związania z pracami urzędowymi i na szerokości praw urzędniczych. Urzędnicy, mianowani na stałe, mają perspektywę stałej pracy urzędowej i zapewnione zabezpieczenie na starość, lub na wypadek niezdolności do pracy, czego nie mają dwie inne grupy urzędników. Otóż niestabilizowanie urzędników, mianowanych na stałe według obecnie obowiązujących przepisów, pociąga za sobą zmniejszenie praw dotąd posiadanych, co jest zawsze rzeczą ujemną i przykrą.

Sprawa ta ma tem większe znaczenie, że niestabilizowanie urzędnika, mianowanego na stałe, wcale nie oznacza jeszcze, że nie ma on odpowiednich kwalifikacji (rozumie się w rozumieniu zwierzchniej władzy), lub że usługi jego są wogóle niepotrzebne dla administracji państwowej, gdyż przy stabilizacji wchodzi w grę nie tylko momenty kwalifikacyjne, jakościowe, ale również organizacyjne. Stabilizacja odbywa się w ramach t. zw. wykazów stanowisk t. j. w ramach, które mają odpowiadać zasadniczym organizacyjnym potrzebom urzędów. Ponieważ jednak w jednych urzędach jest większa liczba osób, nadających się do stabilizacji, niż na to pozwalają wykazy i to osób często posiadających już nabyte prawa emerytalne, w drugich zaś tylko część miejsc, przewidzianych przez wykazy stanowisk, może być obsadzona — Rada Ministrów z początkiem b. r. uchwaliła dopuszczenie do stabilizowania osób w jednych urzędach na miejsca w innych urzędach, bez przenoszenia ich jednak narazie, dopóki warunki mieszkaniowe nie ulegną poważniejszej poprawie.

Specjalnych zarządzeń co do stosowania wobec urzędniczek jakichś wyjątkowych praw lub

niestabilizowania ich nie było i nie ma. Faktem jednak jest, że skutkiem stabilizowania w mniejszym procencie urzędników kancelaryjno-pomocniczych, gdzie przeważają kobiety, niż na stanowiskach t. zw. II i I kategorii (służba rachunkowa podreferendarska i referendarska), znacznie większa część urzędniczek nie będzie stabilizowana i do nich te konsekwencje, o których mówiłem wyżej, odnoszą się w dużym stopniu. Aby ten wniosek był zupełnie ścisły należałoby jeszcze mieć cyfry co do ilości urzędniczek, mianowanych na stałe, a tego — jak wyżej o tem była mowa, niestety nie mamy. Jest również możliwym, że władze, mając do wyboru przy stabilizacji mężczyzn, czy kobiet, zwłaszcza w III kategorii, wobec ograniczonej ilości stanowisk w wykazach stabilizacyjnych, brały pod uwagę nie tylko kwalifikacje służbowe, stopień naukowego przygotowania, i lata służby, ale także kierowały się

względami, o których mówiłem na wstępie artykułu. Jest to zupełnie możliwe, ale wymaga szczegółowego zbadania.

W rezultacie sędzę, że niema specjalnej „kwestji kobiecej” w urzędnictwie, ale niewątpliwie jest i może być szereg spraw, dotyczących wyłącznie, lub głównie urzędniczek.

Do tego, aby te sprawy mogły znaleźć należyty wyraz i rozwiązanie, trzeba pewnego zbiorowego wysiłku urzędniczek na terenie Stowarzyszenia Urzędników Państwowych i współdziałania z Zarządem Głównym Stowarzyszenia. Sprawy są zbyt skomplikowane, aby je można było rozwiązać prostym hasłem, skargami, lub alarmami i artykułami prasowymi. Tylko wówczas, gdy się pozna zagadnienia w szczegółach i zacznie szukać dróg rozwiązania, będzie można uzyskać realne wyniki. *St. Sasorska.*

NA MARGINESIE ARTYKUŁU P. T. „PROTESTUJMY”

„Gwałciciela nieletnich można uważać za jednostkę albo wyjątkowo zbrodniczą, albo chorą. Jeżeli jest zbrodniczą, to zasługuje tylko na śmierć i na nic innego; jeżeli jest chorą, to trzeba ją dożywoć unieszkodliwić”...

i o parę wierszy dalej:

„Gdyby wszakże społeczeństwo nie mogło, czy nie umiało dać takiemu choremu odpowiedniego utrzymania, pomieszczenia i straży, to — nie waham się twierdzić, stokrój lepiej skazać go na śmierć, choć w braku faktycznej winy, niż skazywać na zwichnięcie życia nieprzewidzianą liczbę młodych istot przez pozostawienie go na wolności”.

(Z art. p. Zofji Zawiszy: „Protestujemy”. Nr 33 „Bluszczu” bież. roku.)

* * *

Jako współpracowniczka i czytelniczka „Bluszczu” nie mogę pominąć milczeniem artykułu p. Zawiszy.

Aczkolwiek z dużym ożnieniem zabieram jednak głos, gdyż, — nie zgadzam się z jej „protestem”!

* * *

Coraz częściej z głębokiego przekonania, lub pod wpływem oburzenia sięgać zaczynamy do tych paragrafów prawa, które na ostrzu swoim niosą śmierć.

Sięga do nich w celach „samobrony” państwo, domaga się ich wykonywania „vox populi”.

Z danych wydziału statystycznego naszego ministerjum sprawiedliwości *) o działalności sądów do-raznych wynika, że stosowanie prawa łaski względem skazanych przez te sądy z roku na rok maleje. W liczbach względnych dla pięciu okręgów apelacyjnych państwa polskiego na 100 wyroków śmierci w 1921 r. przypada 36,1 ułaskawień; w 1922 r. 30,9 i wreszcie 19,3 (!) w 1923 r.

Liczyby bezwzględne wyglądają tak: w 1921 r. na 133 wyroki śmierci — 48 ułaskawień; w 1922 r. na 181 wyroków śmierci — 56 ułaskawień i w 1923 r. na 109 skazanych na śmierć — 21 ułaskawionych przez obecnego Prezydenta Rzeczypospolitej.

Według statystyki mamy teraz 30 302 więźniów, w tem 1.476 politycznych.

Czy jednak zarządzenia, walczące z przestępcami za pomocą kary śmierci i ciężkich, obostrzonych więzień są celowe?

Czy wpływają na zmniejszenie ilości zbrodni? Czy uzdrawiają społeczeń-

stwo radykalnie i czy podnoszą jego poziom etyczny?

* * *

Równolegle z rosnącym żądaniem stosowania i stosowaniem kar najcięższych, łącznie z „karą główną” — wzrasta się obecnie w społeczeństwie twardość, zwana „powojenną”, egoizm, potęguje się fizyczna strona życia, obniża kulturalna i umysłowa, mnożą się rozmaite odmiany zła, od subtelnych, „pełnych wdzięku”, a — moralnych perwersyj do wielkich, krwawych zbrodni.

Ktoś mi powie może, że chodzi w tych zarządzeniach o ochronę „zdrowej” części społeczeństwa przed tą chorą i złą. Lecz kto właściwie jest zupełnie i napewno zdrowy? Czy z pośród przeciętnych, normalnych obywateli nie wychodzą niespodziewanie przestępcy więksi i mniejsi? Pisma codzienne roją się od sprawozdań o wszelkiego rodzaju zabójstwach, napadach bandyckich, defraudacjach i oszustwach. A ileż „nieczystych spraw” zatuszowano z takich, lub innych względów!

Kara śmierci i obostrzone więzienia, w których raz po raz wybuchają bunt, głódówki i walka z policją, nie posuwają nas naprzód. Raczej brniemy coraz bardziej wstecz, a kolisko nienawiści i walki staje się coraz szersze.

*) Miesięcznik statystyczny, maj 1923. Kwartalnik statystyczny, Tom I, zeszyt 1 i 4 1924.

Kara śmierci bowiem usuwa daną jednostkę, lecz atmosfera moralna, z której ona wyszła, nie oczyszcza się przez jej stracenie. Przeciwnie! Akcji samoobronnej społeczeństwa, szafującej karą główną i ciężkimi więzzeniami, przeciwstawia się zorganizowana akcja klanów, czy też band, funkcjonujących sprawnie i rządzących się własną moralnością, własnymi zasadami i prawami wewnętrznymi, w których wzajemna pomoc i rzetelność w „robocie“ niejednokrotnie obowiązują.

O zwycięstwie w zderzeniu się sprawiedliwości z temi organizacjami, decyduje ostatecznie siła i zręczność. Kto komu zdoła się wymknąć, kto kogo zdoła pokonać? Bandyta — policjanta; czy też odwrotnie. I dzięki niedoskonałości moralnej naszej egzekutywy prawnej — niezawsze gloria otacza jej czyny.

Wydaje mi się, że w tej bardzo trudnej sprawie odnajdywania winy i stosowania kary, „sprawiedliwość“ nie powinny iść drogami, metodami i środkami przez się zwalczanymi. To znaczy, że wszelkie gnębienie i szkodenie fizyczne winno być w sądownictwie wykluczone. Kara śmierci w pierwszym rzędzie, kary i tortury cielesne również.

Celem sądownictwa i t. zw. sprawiedliwości winnaby być szeroko stosowana pedagogia społeczna, nie zaś podtrzymywanie i podniecanie stanu walki — napastniczej i obronnej — jaką do pewnego stopnia wytwarza dzisiejszy system karny.

Zaniechany już w wielu krajach Europy, system gnębienia więźniów, u nas, niestety, utrzymuje się jeszcze i z wymiaru sprawiedliwości, który powinien mieć na celu spójną akcję wychowawczą i zdrowotną, czyni akt zemsty z zastosowaniem judaistycznej starej zasady „oko za oko, ząb za ząb“. Zamiast uderzać w samo sedno zła przez niszczenie jego przyczyn, zamiast niszczenia podłoża i zarodków zbrodni — zabija się jej wyniki, — pozostawiając przy życiu — źródła. Jest to praca niepoważna drobnych, małych ludzi — podczas gdy powinny mieć w sobie naprawdę coś z majestatu, stanowczości i dobroci Bóstwa wiele wiedzącego.

Wielka akcja uzdrowienia ludzkości ze zbrodni nie może budzić wątpliwości, ani tem więcej sprzeciwu w sumieniu.

Kara śmierci jednak jest tem, co nieustannie powraca przed nasze sumienie i domaga się rewizji.

Kto widział owe słupki, przy których stają skazańce, lub niewinną pozornie szubienicę (przy-

pominającą wieszaki do trzepania dywanów) w cytadeli i zobaczył oczami wyobraźni tę chwilę, w której kilkanaście karabinów mierzy w pierś człowieka, lub tę inną, gdy pętlica zaciska się około szyi drgającego bez oparcia ciała — ten zapyta, czy jednak wolno?

Czy człowiek, czy jakikolwiek trybunał ludzki ma istotne prawo skazywać na śmierć innego człowieka?

Śmierć jest faktem nieodwracalnym. — Czy można odbierać świadomie i n n e m u wszelką możność naprawy, czynnego zadośćuczynienia, przemiany — słowem dalszego życiowego ciągu?

Czy można spokojnie, z rozwagą i namysłem zabijać ludzi niedoskonałych i grzesznych?

Brzmi to paradoksalnie, ale widzę raczej możliwość pogodzenia się ze skazaniem na śmierć bohatera, człowieka doskonałego, który już się na ziemi dokonał i odchodzi jako triumfator (Sokrates, Joanna d'Arc).

Stąd bezcelowem dla każdego państwa jest skazywanie na śmierć fanatyków idei, chociażby idea ta była dla państwa wrogą. Stają się oni bowiem męczennikami za pewną wiarę, pamięć ich otacza promienna aureola, a czyny rodzą następców i naśladowców

Nawet zniszczeni, wyrznięci, lub wytepieni przez wygnanie trwają; exemplum żyjący w pamięci historii albigenski, lub arjanie, których nauka w zmienionej postaci odradza się ciągle. Są wieczni.

Drobnomieszczańskie społeczeństwo dzisiejsze, pozornie moralne, lecz w gruncie rzeczy chwiejne i bez kościa — odnosi się indyferentnie do sprawy zbrodni i kary, do powagi tego zagadnienia. Poszkodowane bezpośrednio — szuka odwetu i zemsty. Wiadomości o procesach kryminalnych stanowią jednak ulubioną przez ogół lekturę, dostarczającą sensacji i ostrych wrażeń. Tracenie zbrodniarzy nie otwiera na nic oczu, raczej ciska w nie jakąś czerwoną mgłą, oszałamia i podnieca, szerzy zbiorową psychozę tropienia i ściągania, przy której powaga życia i śmierci przestaje istnieć, przestają się one bowiem w obiekt widowiskowy.

Okresy obniżającej się kultury obfitowały w stryczki i rozstrzelania. Posługują się nimi też szeroko miesiące rewolucji, gdy świat człowieczy krzesze ze siebie iskry i ognie, gdy panuje zamęt i tłum.

Lecz w państwach zrównoważonych, oświeconych, nie posiadających analfabetów, ani tysiacy nędzarzy, więzienia są domami

poprawy i pracy (Szwajcaria, Holandia, Niemcy), — a kara śmierci, bądź nie istnieje, bądź stosowana jest niezmiernie wyjątkowo.

Przed wojną na więzieniu w Genewie wywieszano często białą chorągiew. Znaczyło to, że więzienie jest puste.

Było zbyt czyste.

Nie wiem, czy i dziś panują tam te błogosławione stosunki.

Wojna zmieniła świat. Wojna go pogorszyła. Ale przecież muszą istnieć jakieś drogi niezawodne do odnowy.

W artykule p. Zawiszy znajduję powołanie się na dawne prawo polskie, karzące „gardłem“ gwałcicieli i wskazanie na moralne zdrowie naszych praociców, umiejących radykalnie walczyć ze złem.

Pomijam kwestję, czy istotnie walka ta była radykalną, oraz nie oceniam w tej chwili bardzo względnie w dawnej Polsce poczucia i stosowania sprawiedliwości.

— Chcę zwrócić jedynie uwagę na rodzaj naszego obecnego życia społecznego, który niema prawie nic wspólnego z indywidualistycznym życiem dawnej, szlacheckiej Polski.

Surowa epoka indywidualności, wielkich w cnocie czy zbrodni, minęła. Dziś wszystko stało się społeczeństwem: dobre, czy złe w dużym stopniu jest wykwitem atmosfery zbiorowej. Życie narodu jest naprawdę wypadkową różnych małych „żyć“, jakie są i udział swój mają w budowie całości. Nastąpiło rozkołysanie ludzkiego morza, którego drobiny pozostają w łączności i współzależności wzajemnej.

Żyjemy gromadnie, jako pracownicy, pół dnia, a czasem dzień cały, spędzając w urzędach, warsztatach i fabrykach, — człowiek obok człowieka, coraz bardziej mechanicznie ze sobą związani (materjałem i narzędziem pracy), wytwórcy i zaspakajające potrzeb, coraz więcej bezimienni i specjaliści od coraz drobniejszych szczegółów, w nich pograżeni, mało nawzajem się zauważający, niewolnicy opanowanej przez siebie materji, oddający wolność swego życia na jej przetwarzanie, — żyjemy ciasno i w pośpiechu — i wciąż gromadnie.

Gromadnie inicjujemy i gromadnie wykonywamy (związki, stowarzyszenia, kooperatywy, kasy chorych, wycieczki zbiorowe i t. d.

Nie czas na samotne, duże indywidualności. Niema dla nich miejsca, a wpływ ich i promieniowanie zostały znacznie okrojone.

Dziś idea, czy interes wspólny uderza i wprawia w ruch wielkie obszary ludzkie.

W naszych zatem czasach więcej niż w jakichkolwiek bądź innych, mówić należy o „wpływie warunków” i „otoczenia”, nie o jednostkach, lecz o typach zbiorowości, o sugestjach życia gromadnego i o psychozach tego życia.

Jeżeli zadaniem sprawiedliwości jest nie tępienie lud i lecz tępienie zła, to musi się ona liczyć z tym dzisiejszym stanem psychiki społecznej i szukać pomocy dla prze-

nicowania człowieka w nim samym, nie przez rozjątrzenie i potęgowanie w nim nienawiści, lecz przez dobrane się do tych zakamarków duszy, w których kryje się dobra wola.

Gruntowna zmiana w moralności społecznej nastąpićby mogła tylko przez szeroki, masowy ruch etyczny, krytyczno-twórczy i reformatorski. — Ruch, wsparty o wzmo-

żone życie umysłowe, artystyczne, oświatowe — o mocną, nieustępującą przed „złem” opinię.

Nie uśmiercanie i nie ciężkie obstrzone więzienia ogłupiające i zwyrodniające człowieka, lecz wielkie domy zdrowia dla złych i chorych — i przede wszystkim propaganda podniesienia poziomu życia wśród mas — potrzebne są w naszych uniwersalistycznych, nie indywidualistycznych czasach. *N. Samotybowa.*

R. M. B L Ü T H

KARTKA Z DZIEJÓW KATOLICYZMU W ROSJI W PIERWSZEJ POŁOWIE XIX W.

10

(KSIĘŻNA ZINAIDA WOŁKOŃSKA)

Sprawa była chyba bardziej skomplikowaną, niż ją lakonicznie ujmuje ks. Kajsiewicz. Niewiadomo co Gogola odciągnęło od katolicyzmu. Faktem jest, że po wyjeździe z Rzymu pojechał do Czech i tam znowu podlegał wpływom panslawistycznym Hanka Najprawdopodobniej owa marzydzielska postawa wieszczka, brak pokory a zarazem głębszego przygotowania intelektualnego, uniemożliwiła utrwalenie się w katolicyzmie. Dość, że te późniejsze szamotania w wyniku ostatecznym dały „szalństwo i śmierć”.

Może w rozmowach z Gogolem Zmartwychwstańcy za dużo mówili o słowiańszczyźnie, a za mało o obiektywizmie Prawdy. Ale czyż można się im dziwić. Byli łatwowierni, zaobaleni, jak wszyscy prozelici w pierwszym okresie po nawróceniu.

Księżna Wołkońska, była od nich dojrzałszą.

Biografka Bielozińska wspomina o wyjątku w pamiętniku, w którym o rozmowach apostołskich tak się wyraża:

„W rozmowach z bliskimi należy się strzec niebezpieczeństwa przekonywania samym słowem. Będziemy myśleć tylko o Bogu, a milczeć wtedy, gdy odrzucają naszą Prawdę. Gdy staniew się prości i pokorni, nikogo gorszyć nie będziemy”.

Gogol po powrocie z pielgrzymki do ziemi świętej, zaczął próby apostołowania. Wydał swe „Listy do przyjaciół”. Kryła się tam pod pokrywą pseudo pokory, jakaś niesamowita, chorobliwa afirmacja wszystkiego, co w Rosji było potwornością „mrakobiesja” (termin Mereżkowskiego, nie dający się prze-

tłumaczyć). Gogol odrzucał naukę, sztukę, wolność osobistą obywateli; gloryfikował zaś cara i samodierżawie. „Listy do przyjaciół” zgorzły w wszystkich. Odpowiedział na nie druzgoczącą filipiką Bielinskij.

Potem się zaczął w duszy Gogola koszmar obłądzenia. Pali swe utwory. Uznaje się za potępionego, a Świat zamienia mu się na katownię: „Rodacy, okropność! Zewsząd mrok, wszędzie mogiła. Boże! zaczyna być pusto i strasznie na Twoim świecie”.

„Gdybym wam opowiedział to, co wiem, wtedy obłąkałyby się wasze myśli i wybyście pomśleli o ucieczce z Rosji”. W takim nastroju umierał.

Wyrazem tej przyjaźni są dwa wiersze Kajsiewicza Heronima.

Pierwszy to parafraza wiersza: „Na pokój grecki ks. Zeneidy Wołkońskiej” p. t.

„Na wileł ks. Zeneidy Wołkońskiej.” Za motto wzięliśmy początek wiersza. Zakończenie zaś brzmiało:

„Kiedyż krzyż prawy ujrzy północna kraina,
Kiedyż się w nim uściśnie słowiańska

[rodzina,
Kiedyż wydrze niewiernym grób Bożego Syna?
19 marca 1838 r.

Drugi był poświęcony nowemu przyjacielowi.

DO M. GOGOLA

Widziałem ja kwiat piękny z pola przesa-

dzony;
Ten choć wodą kryniczną hojnie podle-

wany.
I słońcem oświecony, i za szkłem ogrzany,
Przecie krasy pozbywa smętnie pochylony.

* * *

Widziałem ja śpiewaka od Dnieprowej
Strony.

Ten choć sercem i umem nie skąpo na-

dany
Deptał po rajskiej ziemi natchnieniem za-

sianej,
Przecie nad czołem mętny ból chmurką
zwieszony.

* * *

Przyszła wiosna, otwarto przezrocze wię-

zienie;
Wonnym kielichem nagie witając promie-

nie
Kwiat ciepłą rosą długie ugasza pragnienie.

* * *

I ty, wieszczu, niezdrowej odejmiesz się
suszy,

I pieśń górniesz silnie pierś braci po-

ruszy
Tylko rosie niebieskiej nie zamykaj duszy.

25 marca 1838 r. 1)

Z listów Semenenki dowiadujemy się także o innym bardzo dalekim echu wpływów katolicyzmu na duże rosyjskie.

Księżna zaznajamia swych nowych przyjaciół z treścią z Syberji.

Pisze do niej szwagrowa, Wołkońska-Sybiraczka, o wielkim wpływie O. Tyburcego Pawłowskiego kapelana Łunina dekabrysty-katolika.

Ks. Wołkońska otrzymuje od papieża różaniec i przesyła go przez władze rosyjskie na Syberję 2).

Dziwne się rzeczy działy w tym czasie w rzymskiej misji rosyjskiej. Wpływ jezuitów i tam sięgnął.

W 1841—43 r. zaczynają się nawracania dyplomatów. Prawie cała misja rzymska przechodzi na katolicyzm.

Nawraca się książę Patiomkin, hr. Stackelberg, książę Golicyn, hrabia Szuwałow, Gagarin.

Bywają też odstępstwa podobne do tego, jakie poznaliśmy w wypadku Gogola.

Takim typem jest Dżunkowski, nawrócony teolog prawosławny, słynny misjonarz katolicki, potem zrywający z kościołem. Dżunkowski po powrocie do Rosji, witany był entuzjastycznie, jako syn marnotrawny. Poaracał jednak, aby umrzeć niebawem.

Takim też typem był eks Zmartwychwstaniec Terlecki, (też rusin), a później biskup prawosławny, wróg Rzymu i Unji.

Terlecki był przez Wołkońską wspomagany (pisze o tem w swych pamiętnikach).

W 1841 roku przyjeżdża do Rzymu, by zamieszkać stale przy żonie

¹⁾ Smolikowski l. c. str. 102—103.

²⁾ Patrz naszą „kartkę” pierwszą o Łuninie, „Przegląd Powszechny” 1925 czerwiec—lipiec.

³⁾ „Russkij Archiw” 1900 (5) str. 91.

książę Nikita. Jest już emerytem. Trzy lata żyje jeszcze. Przed śmiercią się nawraca. Odtąd życie Wołkońskiej płynie w pokoju Bożym, na modlitwie i czynach miłosiernych.

Umiera w 1862 r.

Watykan uczcił zmarłych z rodu Wołkońskich pamiątkową tablicą w kościele San Vincenzo Atanasio. Polecał modlitwom: księżnę Zinaidę, jej męża Nikitę i siostrę Marię Magdalenę Własow³⁾.

(c. d. n.)

MARJA GROSSEK-KORYCKA

F E L J E T O N

ŚWIAT KOBIECY

CZEŚĆ II.

28

NOTATKI PSYCHOLOGICZNE

Solidarności! nawołuję do solidarności! Jest ona nam potrzebniejszą od wszystkich sztuk i nauk...

Dla kobiet niech będzie w najwyższej cenie to serce niewieście, które ma w sobie niewyczerpane zasoby dobroci dla kobiety i dla dziecka!

Jaka jest kobieta dla mężczyzny? to jego rzecz.

My teraz nauczmy siebie i drugich widzieć w kobiecie człowieka i oceniać jej ludzkie cnoty i wady w ludzkich stosunkach do każdego człowieka.

Cnoty rodzinne kobieta już opanovała — a nad ich konserwowaniem czuwać będzie sama przez własny interes. Bo ta, któraby ich nie posiadała, nie zostanie wezwana do założenia rodziny — czeka ją osamotnienie, największa dla kobiety niedola.

* * *

Pozostawiwszy smutnemu jej losowi Tę, która ze wzruszającym szaleństwem wielkich uczuć rzuca się w otchłań — i ginie sama... niechże Opinja zwróci uwagę na Tę drugą, która z zimnem wyrachowaniem rozwydrzonych tylko zmysłów, aby im zagwarantować spokojne używanie i zabezpieczyć siebie od wszelkich nieprzyjemności, rozbija rodzinę — czasem dwie! burzy drugiej kobiecie to, co ona zbudowała sobie całym życiem — odbiera jej męża — dzieciom jej ojca!..

Po dwa, po trzy razy w ciągu życia przed ołtarzami wszelkich kultów taka pani przysięga imie-

niem Boga coraz innemu człowiekowi „a iż cię nie opuszczę aż do śmierci”. Zaopatrzywszy wszystkie te swoje konkubiny w pieczęcie Sakramentu, nosi się dumnie.. jej położenie w społeczeństwie jest legalne. Także przeschrowana legalność?!!

Oczywiście, Sakrament dla wielu ludzi jest szopką. Ale nie dla wszystkich! Dlaczego pozwalamy, aby tak profanowanym był Sakrament?

Każda religia jest idealizmem w wielkim stylu, w interpretacji każdej z nich małżeństwo jest religijną formą romantyzmu!

Te dwie dusze były przez Boga stworzone razem przed wiekami, dla siebie — aby rozkrzewiać życie na ziemi. Dlatego to ich spotkanie się, ich złączenie się jest Sakramentem. Co mają wspólnego z tą poezją zmysły, szukające zaspokojenia apetytu, który jak każdy apetyt wymaga odmianny?! niepodobna przecież — toujours! du perdrix!..

Po co tym ludziom małżeństwo i Sakrament? dlaczego oni rozbijają nam rodzinę?

Mnie w tej chwili nie zajmuje rozwód, jako taki — interesuję się tymczasem tylko tym jego rodzajem, który jest krzywdą kobiety: rozwód mężczyzny pięćdziesięcio, sześćdziesięcioletniego z jego starą żoną, towarzyszką całego życia na żądanie młodej kobiety, której zapachniał byt pani generałowej, dyrektorowej, ministrowej etc. i t. d.]

Grając na ostatnich podrygach chorobliwej starczej zmysłowości nowa żona, ta nowej formacji macocha, zajmując miejsce w ciepłym jeszcze gnieździe żony wypędzonej, sprawia w niem straszne spustoszenia wśród dzieci.

Mężczyzna z karygodną słabością charakteru pod wpływem nowej żony przestaje kochać dzieci tej, z którą się rozstał. Gdy chodzi o ostatnie uciechy zmysłów, wola mężczyzny nie przewycięży piórka. Ręka młodej kobiety, kiedy go głaszczce po łysinie, zagładza mu w mózgu obrazy najświętszych przywiązań całego życia. Niczego nie odmówi tej, która pozwala młode swe ciało obśliniać bezwężnym jego ustom. Staje się sromotnie, występnie ustępliwym. Dzieci zostają wydziedziczone i wypieszczona jedynaczka, bez której nie mógł poprzednio dnia przeżyć, z domu wypędzona, ojciec zrywa z nią wszelkie stosunki.

Ileż takich żon rozwiedzionych, wyrzuconych z gniazda, które budowały przez całe życie, pomarło w opuszczeniu, ze smutku i z nędzy! Ile ich przeniosło się do domu warjatów. Ile zmarniało dzieci! Niejeden syn umarł z bóleści, nie mogąc przenieść widoku ukochanej matki opuszczonej przez ukochanego ojca! Inny chwycił za broń mściciela i trafił na ławę oskarżonych. Kto temu winien?

Niestety, winniejszą jest kobieta. Dotychczas uwodzicielstwem zajmował się wyłącznie mężczyzna. Kocim krokiem nieszczęścia wchodził do rodziny, jako przyjaciel męża i uwodził żonę.

Dziś żona powiada uwodzicielowi: „rozwiódź mię z mężem i ożeń się ze mną“. To mu się mniej uśmiecha, ostygł i stracił do romansu pochopność. Zanadto lubi wygodę i zanadto nie lubi się fatygować. Obmyślać mądre strategie na czas długiego oblegania niedostępnej fortecy?! nocne serenady z gitarą, wchodzenie po sznurkowej drabinie — okna zakratowane — pełne zasadek balkony — o nie! to nie dla niego...

Romans musi się dziać łatwo, szybko i krótko. Mężczyzna jest brutalny, a więc prosty. Nie obchodzą go uczucia i prawa męża, któremu chce odebrać żonę — ale jej uczucia do męża, obchodzą go, i ta, która jest naprawdę w mężu zakochana, budzi w nim absztrak, który go od niej prędko odstychnie.

Jedna z najpiękniejszych kobiet, jakie znałam w życiu (a jej mąż dorównywał jej urodą), siedziała na ławeczce w Zakopanem nad drogą z fotografią męża w ręku.

Pan X, który kręcił się koło niej, od dnia kiedy ją zobaczył, przybiegł zdyszany, ale oko jego potknęło się zaraz o tę fotografię w ręku.

— Kto to jest?

— Mój mąż.

— To jest mąż... pani?... pani... mąż??!

— Tak, to jest mój mąż!

— Ż-ż-żegnaj panią... bo tam towa-towarzystwo... chciałem powiedzieć... wycieczka... cze-cze-ka-ja—ż-ż-żegnaj.

Żaden interes! asystować żonie tak zakochanej w takim pięknym mężu.

Kobieta natomiast pełna perfidji i wyrafinowania znajduje najwyż-

szy urok w mężczyźnie, który jest szalenie zakochany w innej.

To jest dopiero gra interesująca, godna ręki mistrza! Obrzydzić mu ją... ośmieszyć i odebrać go jej... z jakim artryzmem trzeba go przeprowadzić, aby się udał!

Nie to jest szczęściem — osiąść ukochanego — ale drugiej kobiecie odebrać jej ukochanego! choćby tylko dla pobawienia się nim — dla wypróbowania siły swych wdzięków.

Słyszałam kiedyś taki okrutny gardłowy śmiech Messaliny, triumfującej, gdy żona słała telegram za telegramem, a mąż ani się ruszył.. bo ona go od siebie nie puszczała. Siedzieć z nim sam na sam w gabinecie z myślą, że tamta, opuszczona, tarza się po ziemi, rwie włosy i wyje z bólu... To jest dopiero boskie samopoczucie swej potęgi!

(c. d. n.)

HELENA BOGUSZEWSKA

CHARMETTES



araz popołudniu wyjechaliśmy z gwarne-ego, handlowego, ruchliwego Lyonu. A do Chambery przyjechaliśmy późnym wieczorem. Odrazu na dworcu poczuło się, że tu jest zupełnie inaczej, jak w Lyonie, i inaczej niż wszędzie. Bo już tyle miast, dworców, hoteli, restauracji widzieliśmy w tej podróży.

Ale tu jest naprawdę inaczej. Miasto niewielkie, starodawne, kamienne, puste i ciche. Chodzi się środkiem ulicy. Jest prawie ciemno.

Zaraz niedaleko dworca mającą w ciemności czarniejsze od niej masy wielkich drzew. A z poza nich błyszczą światła i dolatuje muzyka. Światła różnobarwne, migocące, a muzyka jarmarczna, katarynkowa. Jakiś gruby głos coś zachwala, coś wywołuje.

Idziemy tam.

Kręcą się karuzele, skrzypią huśtawki. To na ciemnym bulwarze nad kanałem rozłożyły się jarmarczne, wędrownie budy. Otoczyły się w czworobok swemi wozami na kołach. Obok pasą się uwiązane konie i osły.

Zabawa ludowa, taka jak u nas, tylko spokojniejsza, kulturalniejsza, bez bójek i awantur. Ojcowie i matki, małe dzieci w wózkach i na rękach — atmosfera rodzinna i dobrotliwa. Oglądamy wędrowny cyrk, olbrzymów i siłaczy, dźwigają-

cych żelazne drągi i potworne kule z strzelnicy, strzelamy do celu i nie trafiamy; kupujemy bilet na loterię, żeby wygrać świnkę, gęś, lub niedźwiadka — i nie wygrywamy.

Z bulwaru skręcamy w ciemną uliczkę. Natrafiamy na jakiś hotel, czy oberżę. W gospodzie na dole dostajemy za 10 fr. od osoby doskonałą kolację z winem. Nie taką, jak dla cudzoziemców, tylko taką miejscową. Na górze są pokoje, również nie takie, jakie się widzi w hotelach dla turystów. Tu przynajmniej będziemy sobie żyć jak zwyczajni ludzie, a nie, jak zwiedzający „étrangers“.

Rano od świtu wałęsają w kuźniach, bo to dzielnica robotnicza. Hotele i restauracje dla turystów leżą w innej stronie. Widzieliśmy je, błędząc po miasteczku, starem i bardzo ciekawem. Obejrzeliliśmy stary zamek na górze, katedrę, i kamienny wodotrysk w postaci ogromnych czterech słoni, zwróconych trąbami w cztery strony świata.

A teraz idziemy do Charmettes, w góry wysoko ponad miasto.

¹⁾ Wiejski domek z kawałkiem gruntu, koło Chambery w Sabaudji, zamieszkiwany przez panią de Warens i J. J. Rousseau od 1736—1741 r.

²⁾ Confessions.

³⁾ Tak Rousseau nazywał panią de Warens, starsza od siebie o 12 lat. Opiekiwała się nim, jak matka. Była mu towarzyszką, przyjaciółką, kochanką, wszystkim

Wspinamy się białą, krętą drogą, pomiędzy winnicami.

I pomyśleć tylko, że dwieście bez mała lat temu, tą samą białą drogą szli: J. J. Rousseau i pani de Warens. Zostawili na dole w mieście ponury, ciemny dom i wędrowali w górę, do Charmettes, gdzie czekało na nich szczęście. Była to wczesna jesień, tak samo, jak teraz, i tak samo wisiały na niskich krzewach granatowe winogrona.

Oto, jak J. J. Rousseau opisuje tę wędrowkę¹⁾.

„Pierwszego dnia, gdyśmy wędrowali do Charmettes na noc, mama²⁾ siedziała w lektyce, a ja szedłem pieszo. Droga pnie się w górę. Mama ważyła niemało, więc w połowie drogi wysiadła z lektyki, bojąc się, żeby nie zmęczyć niosących. Idąc pieszo, dostrzegła coś niesbieskiego przy płocie i zawołała: „patrz barwinek jeszcze nie prze kwitł“!

„Le premier jour, que nous allâmes coucher aux Charmettes, maman²⁾ était en chaise à porteurs, et je la suivais à pied. Le chemin monte. Elle était assez pesante, et craignait de trop fatiguer ses porteurs, elle voulut descendre à peu près à moitié chemin pour faire le reste à pied. En marchant elle vit quelque chose de bleu dans la haie et dit: „voilà de la pervenche encore en fleur!“

I teraz po dwustu latach ktoś znalazł błękitny barwinek przy pło-

cie i znowu się zdziwił, że jeszcze nie przekwitł! Jakby to właśnie było najdziwniejsze ze wszystkiego!

Wspinamy się coraz wyżej i wyżej. Pod nami, w dole — miasto. Nad nami — góry. Na zboczach sady, całe gaje kasztanów i ogrodzone wąskimi murkami winnice, winnice, winnice!

Sadzone w rzędy niskie, żółknące już krzewy, gną się od ciężaru granatowych gron. W powietrzu trochę pachnie jesienia, ale słońce grzeje mocno, a droga pnie się coraz wyżej. Jeszcze wyżej, jeszcze kawałeczek na prawo. To już tu.

Wchodzimy po paru kamiennych schodkach. Stajemy przed drzwiami. Pociągamy za starą wyslizganą rączkę dzwonka. Drzwi się otwierają — i już nas obejmuje chłód takiej zwyczajnej, domowej, wiejskiej sieni o ceglanej podłodze.

Nikt nie sprzedaje biletów. Wchodzimy do jadalni na prawo.

W środku stół i krzesła. Kredens pełen talerzy i półmisek cynowych i fajansowych. Na suficie wyblakłe freski. Na ścianach stare sztychy, jakieś pasterskie, czułe sceny, martwa natura, plany ogrodów.

Jest cicho, pusto, zwyczajnie, domowo. Jakby przed chwilą wyszli — pani de Warens do swoich robót

w polu, przecież zawsze była taka czynna, przedsiębiorcza, pełna planów, projektów. Sama musiała wszędzie zajrzeć, wszystkiego dopilnować.

A Rousseau zmęczył się książkami — przecież przez wszystkie te szczęśliwe lata pobytu w Charmettes pochłaniał wprost naukę — i wyszedł zajrzeć do swych gołębi.

Na prawo drzwi do salonu. Pełno mebli w stylu staro-sabaudzkim; obrazy, sztychy, klawikord pani de Warens, stolik do gry w karty. Ale tu już jest inaczej. Tu już się czuje, że nie wróca. Bo na stole leży wielka, otwarta księga z podpisami zwiedzających. Pełno nazwisk ludzi z całego świata tylko ani jednego polskiego. Trzeba się podpisać..

Za to na górze, w sypialni pani de Warens, w pokoju Rousseau pełno ciszy, słońca, i smutnego, nieodpartego mroku dawności. Tu się nie zwiedza. Tu się jest.

Staroświeckie, szerokie łóżko o wyblakłych firankach. Dziwaczne komódki o niezliczonych szufladkach. Złoczone stare napisy na grzbietach książek w ślicznej bibliotece. A za oknami rozległa dolina Chambery, góry, łąki, winnice. Gdy się nareszcie zejdziesz nadół, płaci za bilet i kupuje pocztówkę z por-

tretem pani de Warens — wprost pogodzić się z tem nie można, że to już nie jest naprawdę.

Że to tylko takie „zwiedzanie“...

Jeszcze raz oglądam się na cichy, milczący dom, sad, winnice. Chcę zapamiętać, jak to wszystko wygląda. Bo przecież było wypełnione szczęściem, aż po same brzegi!

Posłuchajcie tylko:

„Tu zaczyna się krótkie szczęście mego życia, tu spokojne nadeszły chwile, dzięki którym mogę powiedzieć, że żyłem... niezapomniane chwile, których mi tak żal!...

Wstawałem o wschodzie słońca — i byłem szczęśliwy... błądziłem wśród dolin — i byłem szczęśliwy... czytałem, zbierałem owoce, pomagałem przy gospodarstwie — i byłem szczęśliwy. Szczęście szło za mną wszędzie!...

„Ici commence le court bonheur de ma vie, ici vienent les paisibles mais rapides moments qui m'ont donné le droit de dire que j'ai vécu... moments précieux et si regrettés!...

Je me levais avec le soleil — et j'étais heureux... j'étais dans les vallons — et j'étais heureux... Je lisais, je cueillais les fruits, j'aidais au ménage — et j'étais heureux. Le bonheur me suivait partout...“

ZOFJA WOJNAROWSKA

EPITAFJUM

Żeromski umarł.

Warszawa w żałobie

przystanęła — kładzie wieńce na grobie. —

Czarna chorągiew od zamku powiewa.

Z nad morza wiatr przyleciał mocny. Śpiewa:

.....

*Szczęśliw, który odchodzi z znanego w Nieznane
jak żniwiarz spracowany pożytecznym trudem —
były mu wichry przeciw i chmury miedziane,
zaś on szedł jako oracz i siejbiarz przed ludem.*

*Szczęśliw, który odpływa w kraj milczących nawi
jak żeglarz — z lat zatoki, na czasów bezdenie,
bo gdy mu każde żywe serce błogosławi,
odpływa w pamięć wieczną, a nie w zapomnienie.*

*Wielkim jest, który całą ducha swego wolę
wytrwale w głazy czynów gromadził od młodu,
potem kamienie dźwigał przez upiorne pole
pod olbrzymi obelisk — Świadomość Narodu.*

*Wielkim — który ze skarbca narodowych przeżyć
wydobywał diamenty twórczych oszłomeń,
by głębię ofiarności własnym duchem zmierzyć,
z przeszłości Nowoczesność krzesając jak płomień.*

.....

*Zmilkną dzwony, zagasną gromnice,
rozjędzie się do domów pogrzebowa świta,
lecz wiatr z Wiecznego Morza w szumnym pędzie
wielkich ksiąg wielkie stronicie
odwracać będzie
i głośno ludowi czytać.*

WŁADYSŁAW RYMKIEWICZ

Z D R A D A

(n o w e l a)

6

— To nie ja! nie ja! Naturalnie, ja wiem, niewolno! Niewolno, i już nie trzeba myśleć! Żle, jeśli się myśli nic. Są rzeczy wielkie i doniosłe, na które nie starcza rozumu jednego człowieka. Niemądrego, śmiesznego człowieka, który chce być szczęśliwy.

Otworzyły się ze zgrzytem ciężkie, drewniane drzwi piwnicy.

To już dziesięć minut—pomyślał. Słodko—ckliwy uśmiech i niesłychanie ciekawe spojrzenie ruchliwych oczu przez uchylone drzwi.

Czołno powoli sięgał po rewolwer na stole.

Drzwi zamknęły się szybko.

Ostatni raz, boleśnie, aż do krwi, uderzył weń sens rzeczy dokonanych:

Wszystko skończono!

Zgrzyt przekręcanego w zamku klucza borował mu w sercu przejmującą do utraty sił ranę, drażył w czaszce ropiejącą otwór.

Wszystko przepadło!

Stłumione głosy na korytarzu, zamykanie wielu drzwi, chroboty w zamkach, przyspieszone dreptanie wielu nóg, nawoływania.

— Żydzie wróć! Ja się zgadzam!— zawołał w okropnej trwodze.

Nie wraca. Kroki na korytarzu ustały. Zamknięto go. Może tu zgnieć. Błędnym spojrzeniem objął celę.

— Co to?

Kot. Czarny, zły, patrzy na niego roziskrzonymi fosforycznymi ślepiami.

Widział już dziś tego samego kota. Gdzie? Nie może przypomnieć. Złożony mechanizm mózgu przestaje pracować. Kółeczka i tryby obluźwiają się. Zegarek stanął na którejś godzinie; u ludu oznacza to — śmierć.

Spokojnie! Mimo wszystko, trzeba jeszcze żyć! A potem nagła myśl oślepiająca w jasnowidzeniu.

— Tego kota widziałem w celi Sabiny.

I znowu mózg zaczyna pracować, spokojnie, równo, posłusznie, ślepy, powolny człowiekowi mechanizm, zamknięty w klubach woli.

— A więc musieli ją wyprowadzić z celi, otworzyli drzwi, i kot uciekł.

O, czarny posłańcze nieszczęścia! Na korytarzu cisza zupełna.

— A ja jestem zamknięty.

Rzucił się do drzwi. Naprawdę!

Nieustępliwe, twarde, mocne. Bierny i stanończy opór desek obu-

dził w kapitanie energię i przywrócił zwykłą jasność myśli i woli. Jeszcze cierpki ból dymi z komórek serca i gorzki czad rozpaczy łaskocze krtań, ale może się jeszcze uda uratować! „Uratować!” — zagrało w nim to gamą obudzonej energii.

Przelewszystkiem wywalić drzwi! Był silny, podparł mocnymi barki dębowe deski, stęzał w olbrzymim wysiłku, aż pot spłynął mu po ciele. Naprawdę!

Na to potrzeba pięciu chłopów.

Rozejrzył się po celi, jakby w poszukiwaniu pomocy. Znalazł! rewolwer.

Ucieszył się więcej, niż z pięciu par ramion. Jął walić strzałem po strzale w zardzewiały zamek. W celi dudniało graniem i hukami stu dzwonów. Kot rzucał się oszalały z kąta w kąt. Drzwi ustąpiły szybko. Czołno rzucił się naoslep w korytarz, na lewo. Zdaleka zobaczył słaby poblask — szarego światła. Pędził co sił w tamtą stronę. Krew grała mu w skroniach zuchwałą nadzieją zwycięstwa. Nagle przewrócił się o jakąś dużą przeszkodę, tłukąc sobie dotkliwie nos, czoło.

Czyjeś ciało. Pomacał przerażony, rękoma. Wyczuł zakneblowane usta. Szybko rozsuptał węzeł na ciemieniu leżącego.

— Kto to?

— Kowalski, panie kapitanie.

— Kowalski? To wy?!

Kapitana ścisnęło w podgardlu z radości.

— Wiecie, dokąd ją zabrali! Co? mówił, przecinając bagnetem sznury na rękach i nogach wywiadowcy.

— Musimy się śpieszyć. Pojechali autem na lotnisko.

Czołno zdrętwiał. Mrowie elektrycznych igieł przeszło mu ciało i przykuło odrętwieniem do ziemi. Nie mógł wstać z klęczek. Kowalski schwycił go za ramię i zaczął nim trząść.

Ani chwili do stracenia! panie kapitanie! sekunda, i nieszczęście gotowe! Ani chwili!

Czołno wstał i, jak automat, ze wszech sił zaczął pędzić za Kowalskim. Nie wiedział, co się dookoła niego dzieje. Powtarzał machinalnie, bezdźwięcznie, dwa wyrazy:

— Auto.. lotnisko! auto.. lotnisko!

Biegł, dobywając nie wiedzieć skąd sił, za wywiadowcą, który jęleniami susy pokonywał przestrzeń.

Nowela odznaczona pierwszą nagrodą na konkursie Koła Polonistów Uniwersytetu Warszawskiego

Był szary, mętny mrok. Latarnie na ulicach gasły stopniowo, jak strącone księżycy. W ulicach niebieszczało zimne, rzeźkie powietrze, a w granatowym błamie u dolnej powały nieba, rozwierały się, jak przedziwne oka na świat boży, lazururowe jeziora niebios.

A tych dwóch biegło pustymi ulicami miasta, jak szaleńcy, goniący ujrzaną o przedświcie marę szczęścia. U wylotu ulicy ukazało się auto. Zatrzymali je. Oburzeni napadem mieszcuchy, ani myśleli wysiadać. Czołno wpadł w szal. Rozjuszony, z rewolwerem w rękę, wysadzał brutalnie dwie opierające się niewiasty. Damy spazmowały i mdlały, napełniając ulicę piskliwym, denerwującym wrzaskiem. Wreszcie właściciel auta i szofer ustąpili na widok okazanych przez wywiadowcę dokumentów i pod groźbą Czołnowego rewolweru. Auto ruszyło w nieprzytomnym pędzie, zachłystując się od spazmatycznej szybkości. Prowadził Kowalski. Domy, latarnie, drzewa, wszystko tworzyło jedną linię w błyskawicznym pędzie charkoczącego jak w agonji, auta.

Dojeżdżali do lotniska. Przy lasku, odległym o wiorstę od szosy, stał potężny, stalowy ptak, omotany od dołu watą mgieł. Słońce podniosło się na horyzoncie i lizało rubinowym płomieniem krawędzie skrzydeł i pręty lśniącego płatowca. Czołno zapatrzył się na aeroplan. Wywiadowca widział, że kapitanowi dolna warga drży, jak w febrze.

Wyjmowali obaj browningi.

Zatrzymajcie auto... Kowalski.. usłyszą turkot... to nas zdradzi, choć mgły zasłaniają... — mówił niesamowitym głosem Czołno.

Kowalski zmienił przekładnię i nasunął tłumik.

— Podjedźcie bliżej, pomyślą, że to jakieś cudzoziemskie auto z zagranicy. Jest nas tylko dwóch. Nie będą się bali.

Czołno przyzwolił skinieniem głowy. Bolesnym spojrzeniem starał się rozpoznać osoby przy aeroplanie. Mógł dojrzeć zaledwie trzy niewyraźne sylwetki, majaczące w oparach mgieł. Gdy podjechali na linię równoległą do lasku, Kowalski zatrzymał maszynę.

Została im wiorsta do przebycia. Wyskoczyli obaj z rewolwerami w rękach i biegli na przestrzał przez pole, łąką do lotniska pod

laskiem. Nurzali się po kolana w migotliwej kąpieli ros.

Prędejl! Prędejl!

Niemniej Czólno był zupełnie spokojny, tylko między zębami świszczalo mu powietrze, a złowrogi szept zbiegających warg wołał: Krwil!

I nagle, triumfujący turkot śmigła.. (pochylnie płatowca strząsają z siebie rubinową posokę słońca i kolebią się nieznacznie).. I pogarda dumnego ptaka dla tych, którzy zostali na ziemi. Płatowiec, linją strzały wypuszczonej z łuku,

wznosił się zukosa nad ziemię, coraz wyżej... coraz wyżej..

Czólno tężał, nogi wrosłały mu kamieniami w ziemię. Nie był w stanie poruszyć się, odjęło mu mowę, nie jęknął.. Żelazny ptak pruł teraz mocnymi pierściami powietrze, zwycięsko, triumfując! Zatóczył łuk i, obracając się tyłem do słońca, pyszny i wspaniały, drząc od nadmiaru zamkniętej energii, wypłynął z morza mgieł na lazurowy ocean nieba. Wywiadowca strzelił kilka razy, potem rzuciwszy okiem

na kapitana, jął się oddalać, biegiem, zgarbiony, chyłkiem ku laskowi.

Słońce przetkało przepychem złotego haftu tkaninę bisiorów i purpury w skłębionych oparach mgieł, gdzieś na rżysku zaćwierkały wróble, a w lasku na wachlarzach zielonych sosen zaszumiał gędziebnym poszeptem wiatr.

Na lazurowym oceanie nikła wstążka znańczyła zwiewny ślad białego dymu za malejącym pod stropem niebios płatowcem. Z oddali, z wysoka, grało furkocące śmigło.

(Koniec)

H A N N A S K A R B E K

PAN W FUTRZE

(nowela)

III.

W panińskim, różowym pokoju paliły się zawieszono u sufitu świetlane kule. Kwitły białe, sztywne hiacynty. Sztuczny zapach fiołków rozciągnięty na kanapce leżał rozciągnięty ze strusich czarnych piórek wąż.

Był to najniezbędniejszy przedmiot, wydobyty oględnie z garderoby matki.

Młodziutka dziewczyna, uczesana pretensjonalnie, czekała w rogu kanapki. Coś tam szeptała do siebie, uśmiechała się zalotnie i odpowiadała za kogoś. Urwała nagle, na progu stanęła pokojówka.

— Pan korepetytor chce się pożegnać, odjeżdża..

— Niema mnie w domu!

— Kiedy wie, że panienka u siebie, bo starszy pan..

Skrzywiła się. — Jadę na stację, na pośpieszny. Gdy konie podadza, zaanonsujesz.

Pan korepetytor wsunął się tak nagle, tak cicho, że pomimo zapowiedzenia drgnęła. Wyglądał odrażająco. Pijany był, czy chory. Twarz rozpaloną w postrzępionych, buraczanych plamach. A usta spieczono, nawpół otwarte w gorączkowym oddechu.

Nigdy przedtem w pokoju tym nie był. Oślepl na moment. Uderzył go w głowę mocny, zawrotny zapach. Ukłonił się. Przesadnie i ciężko.

— Proszę — wskazała krzeselko.

Usiadł tak, że ujrzała białe, grube skarpetki nad sznurowanymi, pomarszczonymi kamaszkami. I okrągłe wyrudziały talerzyki na kościstych obciążonych kortem kolanach.

Milczenie. Faktycznie znała go oddawna. Od roku dopiero, odkąd uczył braci — rozmawiała z nim. Zaledwie kilka razy.

— Jak to dobrze, że sobie już gdzieś jedzie. Człowiek ten zawieruszył się zupełnie niepotrzebnie w tym pięknym domu. Zawadzał. Nawet niewiadomo dlaczego denerwował.

— Przyszedłem panią pożegnać, zaczął. Oderwał od fotelu swe nieprzyzwoicie czerwone ręce. Ścisnął palcami tak mocno, że aż zartreszczały.

— Tak... i nie tylko chciałem pożegnać, muszę pani coś powiedzieć. — Odchyliła się w tył. Co za nieznośny! jaki okropny człowiek! i co ją obchodzi, jakieś tam... Zmrużyła dumnie powieki. Spojrzała na zegarek. Dochodziła 7-a.

Pachnący, wygięty wąż — przyczaił się zda się do skoku.

— Za kwadrans wychodzę, słucham... — powiedziała niegrzecznie i przymknęła oczy.

— Czy pani wie! czy pani zdaje sobie sprawę... — student zachłystnął się.. — jakiego pani ma Ojca?! — wypalił nareszcie jednym tchem.

— C o o ?

— Tak, tak! — mówił coraz prędzej, łapiąc, jak ryba, powietrze.

— Pani i wy wszyscy! wszyscy tu, w tym wyłączanym domu! a. a. a... życie, życie jak... bawicie się! a a.. wiecież czyjemi sokami najzmudniejszej pracy? i nie tylko to... nie tylko... — Znowu zabrakło mu powietrza..

Panienka się poruszyła. Oszałał? ten... ten... ten?!

— Czego pan chce... proszę pana.

— Nic! nic! niech mi pani nie przerywa. Ja nie umiem, ale ja muszę. Ja to oddawna noszę w sobie. Ja nie opuszczę tego pokoju, nie opuszczę... i pani mię wysłucha do końca, do samego.

Zdawał się być niepoczytalny. Podtrzymywał głowę oburącz, w której wirowały chaotyczne myśli.

— „Tak, tak“ — sypał prędko— pani powinna, pani powinna wiedzieć, że to wielki człowiek! genialny człowiek!

Chal! chal! — całą noc myślałem, kiedy pani płaśała, całą noc... czy pani—to—rozumie: biały człowiek! B i a ł y — wykrzyknął niemal.

Dziewczyna zerwała się nagle, lecz usiadła z powrotem

Bolesne przecucie czegoś nieuniknionego, co może zmiażdżyć, wtargnęło się do porcelanowego jej serca. Niepokój podnosił się coraz wyżej, wyżej od stóp, od kolan, drzenie, których wyczuła najpierw, coraz wyżej, aż do gardła, aż do mózgu...

Niepokój paraliżował ruchy, odbierał głos.

On zaś znów mówił, jakby uderzał. Raz, raz, raz.

— Czy pani rozumie, co to jest wejść bez broni w gardziel roz-wścieczonego głodem tłumy rosyjskich robotników, — czarnych robotników! Wejść i mówić — ważąc każde słowo. Czy pani rozumie, jakiego wysiłku mózgu potrzeba, aby wykalkulować za tydzień, aby dać zrecić zgłodniałym wilkom i owce ocalić. I mieć oko bystre, przemijające! i rady błyskawiczne, zapo-

biegawcze. A także na uboczu, tak, aby nikt nie wiedział, właśnie, aby się nikt nie dowiedział, podnosić z kolan ostatecznej rozpaczyny upadające pod skałą—życia nędzne istoty. Nawpół dzikie i niezawsze wdzięczne.

A i to jeszcze, dać wszystkim, co się komu należy w tym pięknym domu! Aby było nietylko syto i ciepło. A tego za mało, za mało! Aby było—złożono. Konieczne złożono! W puchach i atłasowych watach, ptasiem mlekiem wykarmione żarłoczne pisklęta. Na trwonienie. Na nic nie robienie. Dzieci—synowie i córki—dzieci olbrzymów pracy — unosił się histerycznie, — olbrzymów! Wielkoludów!

Czy Pani wie, — zciszył głos złowrogo, — co mi dyrektor powiedział, przed chwilą, gdy go błogosławił... powiedział: aby tylko zdrowie, chłopcze... aby tylko. Reszta w naszych rękach, i w mojej przyjaźni... A... później, szepnął mi, tuż nad głową:

„Powie ci, ja, syn ogołoczonego z mienia powstańca, zaczęłem od pomocnika... maszynisty, na rozklekotanej starej lokomotywie.“ Co? słyszy, czy Pani słyszy! Ojciec, wspaniała pan dyrektor — był majstrem! Zwyczajnym, cuchnącym zamolonym majstrem na maszynie, przy kotłach.

Oool córce by tego nie wyznał! Maja zerwała się wreszcie. Poruszyła ustami, aby krzyknąć najgłośniej.

Idź! idź pan, precz! precz stąd! Ja nie chcę! Ja zawołam ojca... Tatuśku — o tatusiu, — wołanie wsiąkło w puszyste dywany.

Pan korepetytor powstał także. Stał wysoki i naraz mocny. Oczy miał rozszerzone nieprzytomnie nakazywały.

Marmurowy zegareczek na karkdce posuwał śpiesznie sekundową strzałkę. Dochodziła 7-a. Panienska zrobiła w tę stronę parę kroków — lecz dłoń Jakuba zimna, spocona ujęła ją mocno za rękę.

Pani mię wysłucha. Ja muszę. Ja nigdy już tu nie wrócę... ja prędko.

Trzymał wciąż w spoczonej dłoni drgające paluszki.

...Puszystą drogą śnieżną wyruszała właśnie czarna, lakierowana karetka, uperfumowana wewnątrz białymi tuberozami.

* * *

Siedzieli znowu, naprzeciw siebie. Ujął ostrożnie rąbek jej aksamitnej sukienki. Chciał być pewny, — że jest.

... jestem synem nurka, fabrycznego nurka. Taniego robotnika, który w popielatej, gumowej kurtce

z dużymi wypukłymi ślepiami spuszcza się na dno wartkiej rzeki. I w nocy, gdy trzeba, i w lodowate dnie. Aby wskazywać dradze, kędy się ma przeciskać.

Odkąd pamiętam, mieszkaliśmy w zwyczajnej chałupie na skalistym brzegu, wysoko. Zimno u nas prawie stale i nędznie. Tak było. Dzieci rodziły się i umierały co rok. Ojciec był cichy. Był małowówny. Matka, jak jęzda, — dawniej. Jedną za wszystkich. Miałem też dwóch braci. Zdrowych i sprytnych. Ja byłem głupi. Głupi i niewyrośnięty...

I tak, nie wyżyje, niedonoszony — powtarzała dzień, w dzień Matka. I najmniej dawała zacierek.

Bracia — łapali ryby. Po całych dniach siedzieli w okrągłym czółenku. Nie lubili mnie. Ja kochałem najbardziej psa Burka. Był cały pokrecony i szpetny. Ale wierny i ukochany! A później — ojca. Krzyczałem w przerażeniu, gdy się ubierał w gumową kieszkę i tonął. Krzyczałem: Tatko! Tatuśku! Jeżeli ktoś był w pobliżu, uderzał mię po głowie i mówił: idjoto.

Uciekaliśmy z Burkiem w kamienie i całymi godzinami do bólu oczu, wypatrywaliśmy: swoich.

Nienawidziłem rzeki. Skotłowanej — rozlanej — nieprzychylnej. Nawet w upalne dnie za nic nie chciałem się zbliżyć do wody. Bałem się. I Burek też. Kiedyś, późną jesienią... w deszcz i burzę, bracia powracali z połowu. Ciągnęli za sobą pełniutkie sieci. Kiedy powracali, Matka z ciekawości wybiegła z chałupy. Na brzegu chłopcy oddawali jej wszystkie płotki i co było drobiazgu. Resztę połowu nieśli tegoż wieczora do Konsumu — do sklepu fabrycznego.

— Tego jesiennego, przekłętego wieczoru... w oczach Matki, Burka i moich... lupina łódki podskoczyła nagle na fali, jeden z braci zerwał się na żywe nogi, porwał wiosła i łódka się przewróciła.

Odwróciła się do góry pękatem dnem i jak szalona pomknęła wdół rzeki. Wicher wciąż podnosił słupy piany na wodzie. Już nawet i odgadnąć miejsca kędy wpadli — nie sposób było... Dniepr ryczał z uciechy. Ojca w pobliżu nie było, ani żadnych ludzi. Nikogo. Woda połknęła naszych chłopców i... skończyło się wszystko.

Wówczas to przez plusk i wycie — usłyszałem dziki krzyk obcej kobiety... Krzyczała ona, matka moja. Zrozumiałem. Biegając i potykając się, płacząc na głos, śpiesząc na pomoc, wpadłem do chałupy. Drzwi stały otworem. Matka w poszarpanej bluzce tarzała się po podłodze. Ujrzawszy mnie — krzyknęła w pasji: „uciekaj mi z przed oczu, przepadaj! bo zaduszę, własnymi rękami zadu-

szę, jak szczeniaka... Że to ciebie cholera nie wzięła... że to ciebie“...

Uciekłem Głodny, przemoczo-ny, wygnany. Zamknęliśmy się z psem w drewni.

Nazajutrz kiej świt, ojciec spuścił się na dno. W gumowej kieszce, ze straszonymi szklanymi oczyma. Poszedł na dno... po chłopców. Najpierw wywłócił młodszego. Zaplątał się był w sieci. Starszego zniosło daleko...

Leżeli tak później, cały dzień, rozciągnięci na brzegu, tłusci i biali. Matka wyła nad nimi. Ja i Burek przyglądaliśmy im się zdaleka, z za dużych, przyjaznych kamieni. To nie byli oni. Stasiak i Jasiek — Stasiak, który mnie tłukł po głowie. Jasiek, który kopał Burka. To nie byli oni...

Pochowali ich za te same pieńki, które starszy wciąż ciął niewiadomo na co...

* * *

Korepetytor zaczerpnął powietrza.

Sypał słówka tak pośpiesznie, jakby się lękał, że nie zdąży, nie zdąży.

Panienska w drogiej, aksamitnej sukience, malała i kurczyła się w kąciku kanapki. Dłońmi nakryła oczy. Z nagłego wstydu. Za niepopelnione — a jednak najcięższe przewiny...

...I było coraz gorzej... i było coraz głodniej u nas. Ojciec chory z obwiązaną szmatami głową wyjeżdżał teraz sam na ryby. W tej samej łupinie. Odpływał daleko na środek szerokiej, nieprzyjaznej rzeki... O męko! niedziecinnej troski — o świadomości nieszczęścia — męko, gniożąca wąż ramionka... I miłość! przeogromna, niczyją pieczęcią niezaspokojona — miłość ku choremu... ku cichemu ojcu.

Znienawidziłem matkę... jak mogła ojcu pozwolić. Nie tknąłem też odtąd żadnej ryby. Chociażbym się skręcał z głodu.

Właśnie któregoś znowu dnia Ojciec odpłynął... Nie wracał. Znikł mi zupełnie z oczu. Rozpuścił się w wodzie. Krzyczałem nań, jak najgłośniej, aż do bólu — aż do bólu wewnątrz: nie toń tatuśku — o nie toń!.. Pies mi dopomagał. Darliśmy się i wyliszy, jak opętani.

Naraz ... „cóż tak głośno płaczesz, przyjacielu maleńki?“ powiedział ktoś. Wysoki jakiś człowiek stał obok. Olbrzym w rozpiętym futrze. Z nieba spadł?? Tak powiedział: przyjacielu... Nigdy tego słowa nie słyszałem przedtem. Spojrzałem w twarz jego, wysoko w kołnierzu futra schowaną. Takiej też nigdy dotąd nie widziałem. Wyrecytowałem więc bez wstydu — płacząc na zawołanie: „Stasiak

i Jasiek utonęli. Tatko pojechał teraz po ryby. Przewróci się. I zimno. I jeść mi się chce, ale Burkowi jeszcze więcej“.

— „Chodź synku“ — wyszeptał pan w futrze — „chodź, wszystko będzie dobrze“.

Ujął mnie mocno za rękę. Nazwał mnie synkiem?...

Poszliśmy. Przeskakiwaliśmy z kamienia na kamień.

Na drodze stał powóz. Czarny, błyszczący. Pan w futrze wziął dużą chustę i owinął mię, jak dziewczynkę. Wyjął małą pachnącą z kieszeni i otarł mi nos — posadził obok siebie, — i Burek też — szepnąłem uszczęśliwiony.

— Dobrze, i Burek też — Hop! tu! Burek!

Pojechaliśmy do chałupy.

Ja nigdy przedtem nie słyszałem bajek.. Ani widziałem podobnej karety...

Dalej — dalej — dalej... Co było?... tegobym nigdy powtórzyć nie zdołał. Nawet przemysleć jest trudno. Dokonywały się rzeczy ważne. Tegoż wieczoru jedliśmy wszyscy jak na zapas. Matka słałkana, siedząc przy ogniu — plotła mi ni w pięć — ni...

Pamiętam, pamiętam każde słowo. Mówiła do ojca: — „i żebyś wiedział, nic a nic się nie wstydział. I to ci powiem taki wspaniały! i że się taki chuderlak podobał! I żebyś słyszał, jak mówił, jak nakazywał! Nic innego, tylko Jasiek... święć Panie — wymodlił za nas“...

— „Mam! a może ci to był sam pan Jezus?“ — spytałem nagle olśniony, niepomny strachu, ani krywd.

Porwała się z zydlą. Wrzasnęła dziko: jedynaku mój!

Chwyliła mię w ramiona i ucałowała. I za Staśka, i za Jaśka, i za moją dotychczasową niedolę...

Czy pani słyszy?... u-c-a-ł o-w-a-ł-a. Odkąd siebie pamiętam... Tak zrobił... Tak odmienił — ten futrzany — ten wspaniały pan. Dalej... dalej...

O braciach już nikt nie wspominał. Zginęli, zaledwie umiejac czytać — ja ukończyłem gimnazjum. Stałem się pierwszą osobą — chlubą całego domu, całej familji. Pan dyrektor nawet zarabiał mi nie dawał i Konradowi kazał pomagać...

Alboż my wiemy... albo ja wiem... ilu takich wychował? — zakończył student modlitewnym szepem.

— Alboż ja co wiem... alboż ja co wiem, Puśku, — tak samo, szepem modlitewnie, jak echo powtórzyła dziewczyna, zacierając oczy palcami.

— I cóż ja mogę? — ożywił się znowu — i czemuż kiedy w życiu? Konrad zawsze był bardzo dobry —

ale pani!.. Pani musi! musi! być częstką Jego... tak! tak! i ja dla tego to wszystko... Dlatego, choć to... na ostatku, bo wiem... w koszarach moskiewskich.

Maja zdradziła się szlochem. Nie wstydząc się, z mokremi dłońmi, na rozmazanej twarzy — płakała. Płakała ordynarnie; głośno, — pociągając zaczerwienionym noskiem. Dopiero teraz usłyszał. Oderwał ręce od pałającej głowy. Skurcz cierpienia wykrzywił mu rysy. Uklękła tuż koło kanapki. Ujrzała konopiane, sterczące w nieładzie najbrzydsze włosy. Ujrzała szpetną, spoconą, w buraczanych postrzępionych plamach, twarz studenta. Zaciśnął dłonie błagalnie — aż trzeszczały... Mamrotał.

— Niech pani nie płacze... niech pani — panno Marjo! o panno Marjo! Ja — to — dla niego... a i bo, ja... też bardzo kocham. Oddawna panią kocham... tak bezgranicznie... tak...

Zakrzuszył się. Zakaszłał. Zgiął się we dwoje i usiadł na podłodze, tuż koło kanapki, w nogach dziewczyny.

— Powstań — powstań — powstań! — mówiła w zamieszaniu. Już była na środku pokoju. Ręcznikiem tarła sobie zawzięcie oczy i twarz?. Ktoś prędko biegł po korytarzu. Uchylił drzwi.

— Konie podane — panienko!

— Cicho! Melu!.. nikomu, obydwoma drżącymi dłońmi wskazała panienska przykucniętą postać korepetytora.

— Panienczko! — wyszeptał w przerażeniu młodziutki głos służebnej.

— Cicho — cicho... powiedz furmanowi, by zaczekał... koniecznie zaczekał... odwiezie panicza do domu — odwiezie go następnie na kolej... na pośpieszny... Drzwi się zamknęły. Jakub dźwignął się

wreszcie i usiadł ciężko na krzeselku.

Zbliżyła się doń, cichutko. Ostrożnie czubkami palców dotknęła zwichrzonych, konopianych włosów. Pachnącą chusteczką otarła zroszone ziarnistym potem czoło.

— Wszystko będzie dobrze, przyjacielu... wszystko będzie dobrze... aby tylko zdrowie... aby. Trzeba już iść!.. Powstał więc.

Odmę miał na oczach, w głowie szum.

Stali tuż obok siebie.

Naraz panienska uniosła się na paluszkach, dotknęła białymi dłońmi policzków korepetytora, syna nurka fabrycznego i musnęła siostrzanym pocałunkiem nabrzmiałe, popękane jego usta. (Koniec).

Ś. P.

CECYLJA BOGUCKA

W lipcu b. r. zmarła Cecylja Bogucka. Dzięki swym książkom, piśnianym wspólnie z Cecylją Niewiadomską i dzięki licznym rzeszom swych uczennic i uczni zdobyła sobie szeroką popularność, a nade wszystko miłość tych wszystkich, którym dane było zbliżyć się do tej jasnej i pełnej pogody kobiety. Jej niezwykły talent pedagogiczny sprawiał, że nie było ucznia, któryby nie lubił jej lekcyj, jej rozległa wiedza, wybitna pamięć i świetny humor pociągały ku niej młodzież i budziły zainteresowanie do wykładanych przez utalentowaną nauczycielkę przedmiotów.

Cecylja Bogucka urodziła się 1859 roku we wsi Jarlutach ziemi Płockiej. Latem dziecinny, spędzonym na wsi pod okiem idealnej matki, zawdzięczała słoneczną pogodę i radość życia. Uczyła się w Warszawie na tajemnej pensji, utrzymywanej przez siostrę Rafała Krajewskiego pannę Emilję Krajewską, kobietę mądrą i prostolinijną.

W atmosferze kultu dla obowiązku i miłości Polski kształciła się panna Cecylja Bogucka pod okiem takich pedagogów, jak: Władysław Smoleński, Karol Kunin, Edward Grabowski, Florjan Łagowski, Władysław Kolendo.

Pracę pedagogiczną rozpoczęła ś. p. Cecylja Bogucka w domach prywatnych i w komoletach, zdobywając szybko uwielbienie starszych i fanatyczną miłość dzieci.

Znały ją kółka oświatowe, gdzie wspólnie ze ś. p. Teresą Ciszkiewiczową, Marją Dzierżanowską, Reinschmidt-Kuczalską i tylu innymi walczyła z analfabetyzmem i obojętnością narodową. Miewała od-



czyty dla nauczycieli ludowych, organizowane potajemnie przez ludzi dobrej woli, a odważnego serca, miewała pogadanki dla starszych w Uniwersytecie Ludowym.

Cecylja Niewiadomska, zachęciła ją do wspólnej pracy autorskiej. Po wybuchu Wielkiej Wojny, zaskoczona na letnich wywczasach w Tuhanowiczach, szukała schronienia w Mińsku Białoruskim, gdzie od razu stanęła do pracy nad młodzieżą w dwóch świeżo zorganizowanych szkołach średnich. Jaki był jej wpływ na chłopców, opowiedzieć mogą ci, którzy ją tam przy pracy widzieli.

Po powrocie do Warszawy w 1918 r. zaczęła uczyć w gimnazjum męskim p. Kulwiecia, ale już w 1921 r. ciężka choroba serca nazawsze oderwała ją od pracy nauczycielskiej. Wówczas to poświęciła się wyłącznie pracy literackiej. Po „Podręczniku do systematycznego dyktanda” (Bogucka i Niewiadomska, Pruska i Warnkówna), nastąpiły „Ćwiczenia do nauki poprawnego pisania” (Bogucka, Niewiadomska, Warnkówna), „Podręcznik do ćwiczeń ortograficznych i systematycznego dyktanda” (Bogucka, Niewiadomska, Warnkówna), „Wypisy na klasę I, II, III” (Bogucka i Niewiadomska), „Nauka stylistyki dla klasy IV, oparta na przykładach”, (Bogucka i Niewiadomska), „Nasi pisarze” część I (Bogucka i Niewiadomska), „Nauka pisowni” (Bogucka, Niewiadomska, Szober) i „Program i sposób nauczania języka polskiego w szkole elementarnej” (Bogucka).

Nie chciała przyjąć udziału w pracy nad II częścią „Naszych pisarzy”, pochłonięta zbieraniem materiału do ukochanego dzieła swego życia: historii polskiej dla niższych klas szkół średnich, niestety niedoprowadzonej do końca.

„Chociaż nie skończysz, ciągle rób — Ciebie, nie dzieło skryje grób”.

Kiedy myślę o dziele jej życia, staje mi przed oczyma nie długi szereg podręczników drukowanych, począwszy od ostatniego dziełki zeszłego wieku, do których, zdaniem ś. p. Niewiadomskiej, wnosiła piękno i poezję, lecz to, co było istotną treścią jej życia: miłość ku młodzieży.

Dzięki temu uczuciu duchowe wartości Cecylji Boguckiej, jej zapal do dobrej sprawy, jej umiłowanie, ogarniające wszechświat, jej mądrość, wykrywająca sens wszechrzeczy, nie zejda z nią razem do grobu, lecz przedłużą się w nieskończoność.

A w takim razie powiedzić o niej można, „nie wszystka umarła”.

F. Jurgielewiczówna.

NA MARGINESACH ŻYCIA

Cóż może nadawać się bardziej do drobnouchniej wzmianki na marginesach księgi życia nad odrzucony przez redaktora, do kosza redakcyjnego zakwalifikowany, rękopis.?!
„Bo on nie stoi na poziomie”, „bo on jest słaby w formie”, „bo on nie ma wartości literackiej” i t. d. i t. d.—więc... idzie do kosza... a nie-raz, czasem... znajdzie się tam na dnie jakiś wiersz, jakiś drzbiazg, rzecz istotnie słaba w formie, tylko, że będąca tak m cennym dokumentem życia, takim krzykiem rzeczywistości, iż zanotować go warto.

Oto co znalazłam na dnie Bluszczonej otchłani odrzuconych:

„W dalekiej, obcej stronie,
Gdzie krwawy rządzi czyn,
Gdzie pożar piekła płonie,
Pozostał się mój syn.
Żrenica mego oka
Mojego serca kwiat,
Dorobek mego życia —,
Mój syn,—mój skarb—mój świat.”

Matki - polki współczesnej najstraszniejszy to tragizm! A częsty przecież! A częsty. Bo tak już losy sprzęgły nas z tą przeklętą krainą, że niema prawie piędzi ziemi rosyjskiej, gdzieby nie wsiąkła polska krew i polskie łzy i niema takiego obszaru stepów rosyjskich, po którychby wiatr zimowy nie rozganiał prochów naszych zmarłych.

Więc matka polka pyta każdej chwili dnia i nocy:

„Co robi dziecko moje
Oddane wrogom w moc?”

A sny przynoszą jej odpowiedź, że:

„Spędza młode lata
Wprzężony w wieczny trud,
I jedna mu zapłata
Niewola, głód i chłód.”—

Innym razem słyży we śnie jak z lochów czrezwyczajki syn woła na nią: „Mamo!”— albo widzi wśród dzikich rozłogów mogiłę, na której ręka poczciwego człowieka wzniosła krzyż. W mogile leży jej syn, zmarły, „gdy wracał już do swoich, jako do gniazda ptak.”

Ale jest sen, ze wszystkich najstraszniejszy, jest myśl najokropniejsza:

„Może w przeklętej ziemi,
Gdzie szatan wznosił swój tron
Na wieczną pamięć hańby
Pracuje także on?
Może krwią ludzką broczy
Niewinnych ofiar kat?”

I jeszcze ta zmora:

„A może...
Dla własnej swej ojczyzny
Obmyśla chytrze grób?!”

Biada, biada wam matkom,—których dzieci pochłoneła straszliwa kraina bez miłości i bez nadziei!

A oto obrazek stamtąd, będący jakby odpowiedzią na trwożne pytania matki Polki:

Puszczą jest Rosja świecka, puszczą, w której ostępach kryje się uciśniona myśl i pogwałcone uczucie ludu.

Konspiruje się tam wiarę w Boga, konspiruje prawdę, wszystkie uczucia naturalne wszystkie bezpośrednie odruchy duszy. Piramida odwrócona wierzchołkiem w dół.

Pewien monarchistyczny tygodnik „Rewelskoje Wremia” zamieścił w № 14 interesujący szkic z życia dzieci w Rosji sowieckiej.

Autorem szkicu jest p. Korsak-Kotowicz, jest to opowiadanie dziewczynki, która zdołała uciec z internatu sowieckiego, opowiadanie, podobno spisane wiernie przez feljtonistę.

W każdym razie ma ono wszelkie pozory autentyczności.

leż tam rzeczy ciekawych!

Wkraczamy w głąb ostępu.

Dzieci schodzą się po nocach, chłopcy i dziewczynki, by wyjaśnić sobie prawdę co do bandyty „Dobrego”, którym straszą ich władze, że morduje lepszych ludzi w okolicy, że dzieci rzuca w ogień i okrutnie znęca się nad pionjerami (harczerze sowieccy). A w internacie jest dużo pionjerów (76 na 320 dzieci). W tych nocnych pogawędkach dowiadują się dzieci, że „Dobry” zabijał tylko komunistów, którzy siedzieli w „ispolkoma” i rabowali zboże włościanom, by je wywieźć zagranicę. Napadał tylko na nich i odebrane zboże rozdawał biednym. Dlatego nazwano go „Dobrym”. W ciągu trzech lat nie spalił żadnej wsi. Palił tylko „ispolkomy” i czytelnie. „Dobry” został ujęty i stracony, a poiutrze cała szkoła pójdzie oglądać jego zwłoki, wystawione na placu publicznym.

Idzie szkoła. Idą „pionjerzy i pionjerki”, śpiewając charakterystyczną piosenkę, której refren stały jest:

„R. K. P. ty nasz papasza,
M. K. M. nasza mamasza,
Wo—i bolje niczewol!”

Z publiczności czasem ktoś gwizdnie i chowa się w tłumie. Na kupie śmieci, leży „Dobry”. Twarz czarna! Dokoła topory, noże i piły — wszystko we krwi. (Budujący widok dla dziecięcych oczu). „Twarzysz” wyjaśnia, jak straszonym

zbrodniarzem był zabity bandyta. A lud stoi wokół i płacze. Babina jakaś podchodzi do zwłok i na pierś „Dobrego” rzuca 10 kopiejek. „Daj mu Boże Królestwo Niebieskie! on sierotom moim był jak ojciec.” Tłum się poruszył, niektórzy biją pokłony. Jeden z pionierów, już długi, zerwał czerwony krawat i rzucał na ziemię. Zabrali go „towarzysze”. Szkołę odprowadzono zaraz w milczeniu. Milicja poczęła rozpychać tłum. I znów nocny wiec dzieci. Postanowiono wypisywać się z pionierów. Pozostali tylko ci, co są pochodzenia burżujskiego, z obawy, że karanoby ich rodziców. „I ja się nie wypisałam — mówi mała informatorka feljetonisty, — ale postarowałam uciec do Ameryki, bo ja wiem że Bóg jest prawdą a komuniści oszukują naród”. I uciekła.

A teraz wróćmy do naszych spraw i do naszych dzieci.

Czy wiecie szanowne czytelniczki, że wbrew 113 artykułowi Konstytucji, który wprowadza w Państwie nauczanie powszechne, 600 tysięcy dzieci polskich nie uczęszcza do żadnej szkoły?

Żeby pomieścić te setki tysięcy w suchych, widnych i ciepłych izbach szkolnych, trzeba by zbudować 89 tysięcy izb szkolnych, żeby dzieła tego dokonać i wszystkim tym dzieciom dać naukę, trzeba by wyasygnować 4 miljardy złotych...

W dziedzinie szkolnictwa powszechnego zrobiono się w nowej Polsce bardzo wiele. Mamy już 27366 szkół powszechnych, publicznych i prywatnych, mamy 65083 nauczycieli, pracujących w tych szkołach z 3.237.620 dzieci, uczących się, ale w zakresie budownictwa szkolnego zrobiono bardzo mało!

Od chwili opuszczenia Polski przez zaborców przybyło przeszło 1000 izb szkolnych. Jeżeli posuwać się będziemy w tem tempie, kiedyż zdążymy wybudować te 89 tysięcy?.. nawet nie za lat sto. Analfabetyzm jest naszą klęską i naszą hańbą wobec cywilizowanego świata. A w dodatku podnoszą się głosy, że i tego szkolnictwa zawiele, że Polska za uboga na to, by wszystkim dzieci swoje choćby najsłabszym promykiem światła obdarzyć, że trzeba się cofnąć z wziętego raz rozneđu.

Niech nas Bóg strzeże od cofnięcia się na jakiegokolwiek linii! Nietylko ten, co się cofa, ale i ten co nie idzie naprzód, staje na równi pochylonej, wiodącej do zguby...

Czy jednak wobec ciężkiego położenia finansowego Państwa nie mogłoby obywateli, a zwłaszcza obywatelki przyjąć mu z pomocą swego czasu i swego trudu?

Za panowania obcych do obowiązków obywatelskich pierwszego

stopnia, że tak powiem, należała praca nad oświatą. Każda młoda panienska, a przynajmniej prawie każda, czy to w Warszawie, czy na wsi, uważała za powinność swoją, za podatek spłacany Polsce uciskanej i bezsilnej, nauczenie przynajmniej dwojga dzieci. I dziś są panienski, które, nie mając żadnej zawodowej pracy, nie wiedzą co czynić z nadmiarem czasu. Tylko to poczucie powinności obywatelskiej już nie istnieje. Wszystko zdaliśmy na Państwo, na ministrów.

A tak byłoby dziś łatwo! — policjant moskiewski, strażnik ziemski isprawnik nie śledzą, do kozy nie biorą, kar za nauczanie nie naczają... a panienski założyli rączki i siedzą, i myślą o dancingach tancerzach... Niechaj myślą, to prawo młodości, ale prawem młodości jest także entuzjazm do wszystkich wielkich i pięknych spraw. A rozśłonecznić Polskę, rozwidnić, do każdej chaty posłać promień światła, do każdej sutereny wnieść książkę, — to wielka i piękna sprawa.

Na zakończenie — nieco smutnej humorystyki.

Do ustaw nie wprowadzonych w życie i zmarnowanych należy, jak wiadomo, ustawa antialkoholowa, referowana w poprzednim Sejmie przez posłankę Moczydłowską i przyjęta, zdaje się, jednomyślnie. Pozostała ona litera prawa. Czasem jednak znajduje się naiwny urzędnik, który uważa za swój obowiązek zastosować jej przepis. Tak stało się w Województwie Poznańskim, gdzie piwo, zawierające wyższy procent alkoholu, niż przewidziany ustawą, zaliczono do napojów, których nie wolno sprzedawać w soboty i niedziele. I omal, że skutkiem tego nie przyszło do rewolucji... W Gazecie Bydgoskiej pojawiła się odezwa, podpisana przez jakiś „Komitet Obywatelski”, z za którego przeglądają oczywiście oburzone oblicza restauratorów i szynkarzy, wzywająca na wiec protestacyjny do ogrodu Patzera.

Pyszna jest ta odezwa. „Wolność obywatelska zagrożona przez demagogów i obłudników! Oczywiście obłudnikiem jest, kto nie lubi piwa!..

„Precz z przepisami, ograniczającymi nietylko wolność osobistą, ale i demoralizującymi społeczeństwo.”

Moralność znalazła właściwych obrońców!..

„Obywatele demokratycznej Rzeczypospolitej nie potrzebują nianiek...”

Oj, nam się zdaje, że taki obywatel, taczający się z jednego brzegu chodnika na drugi, bardzo i bardzo potrzebuje nianki...

Wreszcie — korona wszystkiego okrzyk: „Precz z Moczydłowską!” Szanowna posłanka może być dumna z tego powiązania jej nazwiska z ustawą, która wprowadza dziś jest zerem, ale musi stać się cyfrą, jeśli Polska spaść nie ma do dawnych saskich nierządów, do stanu saskiego ogłupienia.

Obywatelki Państwa Polskiego postarać się muszą, by nie poczytalanym obywatelom przystawiono do boku nianki w postaci surowych i pilnie przestrzeganych paragrafów prawa.

KOBIETA W ŚWIECIE I W DOMU



KOBIETA — KAPITANEM OKRĘTU

Pierwszą i jak dotychczas jedyną na świecie kobietą — kapitanem okrętu jest niejaka pani Jennie E. Crocker, Amerykanka, rodem z Cliftondale w stanie Massachusetts. Długożona ona już blisko dwa lata szkunerem pod nazwą „Ruth Martin”, na którym mąż jej pełni obowiązki pomocnika kapitana. Pani Crocker ukończyła szkołę marynarki w Pugsley, a świadectwo jej szkolne wskazuje, że była jedną z najzdolniejszych słuchaczek tego zakładu. Celowała zwłaszcza w astronomji nautycznej i nauce nawigacji.

Świadectwo, jakie otrzymała przy ukończeniu zakładu, zezwala jej tymczasem na prowadzenie jedynie mniejszych okrętów o pojemności nie wyżej 800 tonn, pani Crocker jednak zamierza w najbliższym czasie ubiegać się o dyplom kapitański najwyższego stopnia.

RUMUŃSKA JOANNA DARC

W ubiegłym miesiącu odsłonięty został w mieście rumuńskim Hatinie pomnik ku czci bohaterki dziewczyny wiejskiej, Katarzyny Teodoroju, którą nazywają „rumuńską Joanną Darc”. Dzieje tej bohaterki rumuńskiej, choć piękne i wzruszające, nie przypominają jednak w niczem wielkiej postaci „Pasterki z Domrèmy”. Katarzyna Teodoroju brała udział w walkach swego narodu, nie jako przywódczyni-wizjonerka, idąca za głosem rozkazu Bożego i pragnieniem ocalenia Ojczyzny: pociągnęło ją w szranki walczących przywiązanie rodzinne, miłość do brata, z którym wychowywała się razem w cha-

cie rodzicielskiej i który — po stracie rodziców — był jej najdroższym na świecie. Gdy wybuchła wojna światowa i młody Teodoroju z rolnika stał się żołnierzem, Katarzyna porzuca wieś rodzinną i idzie za ukochanym bratem w świat. Towarzyszy mu w długich trudach żołnierskiego żywota, krzepi go, gdy upada na duchu, i dodaje sił do walki. A gdy pewnego tragicznego ranka wśród szalejącego huk armat młody Teodoroju padł ugodzony kulą nieprzyjacielską, oszałała z bólu siostra wyrwała z jego stygnącej ręki karabin żołnierski i rzuciła się na nacierające szeregi wrogów. Przykład bohaterskiej dziewczyny dodał nowego zapału i męstwa oddziałom rumuńskim, które chwaciać się już zaczynały pod przemożnym naciskiem sił nieprzyjacielskich. Tego dnia zwycięstwo było po stronie Rumunów...

Katarzyna Teodoroju pozostała odtąd w szeregach armii rumuńskiej na miejscu zabitego brata. Wkrótce potem nadarzyła się jej sposobność do nowego czynu bohaterskiego. Otoczona wraz z kilku towarzyszami broni podczas dokonywania wywiadu przez znacznie liczniejszy oddział nieprzyjacielski, młoda dziewczyna śmiałym ruchem wyrwa rewolwer z ręki dowodzącego tym oddziałem oficera i celnym strzałem kładzie go trupem na miejscu, poczem, korzystając z chwilowego zamieszania, rzuca się do ucieczki. Za czyn ten otrzymała Katarzyna stopień podoficerski.

Ciężka rana, otrzymana w jednej z licznych potyczek z wrogami, zmusza ją do dłuższego pobytu w szpitalu, z którego powraca jednak znów na front bojowy, uzyskując niebawem rangę oficera. Dowództwo armii rumuńskiej, w uznaniu jej niezwyklej odwagi, stawia ją na czele jednej z kompanii 43 pułku piechoty. W niespełna pół roku potem — w lipcu 1917 r. — poległa Katarzyna Teodoroju bohaterską śmiercią walecznych w bitwie pod Marosesti, prowadząc oddział swój do ataku.

Naród rumuński uczcił jej pamięć wielką manifestacją żałobną. Pomnik jej przedstawiający młodą dziewczynę w mundurze żołnierskim, rzucającą się z karabinem w ręku na wroga, rzeźbił artysta rodak Mataono. Na odsłonięciu tego pomnika wygłosili mowy żałobne przedstawiciele rządu, duchowieństwa i organizacji społecznych... Lecz najpiękniejszym jej pomnikiem będzie pamięć o niej w sercach rodaków i prosta nieuczona piosenka, którą o niej nucić będą matki rumuńskie nad kołyskami swych synów.

Z. B.

Pierwsza zawodowa szoferka w Warszawie.

Jest nią p. Blandyna Mańkiewiczówna osoba młoda, drobna, przystojna, o dużych szarych oczach, energicznym, wesołym spojrzeniu i oszryżonych a la garçonnie włosach.

Bardzo uprzejma i życzliwie odnosząca się do kobiet, interesujących się automobilizmem, dużo mi opowiadała o swym życiu i o swoim ulubionym zawodzie.

W 1921-ym przyjęła do Warszawy, z Ukrainy i nie mając innego fachu poświęciła się pielęgniarstwu.

Zajęcie to, jak każda zresztą pracę, której się podjęła, lubiła i oddawała mu się gorliwie, urozmaicając sobie czas spędzany przy łóżku chorych czytaniem, szyciem i t. p.

Dla jej czynnej, żywej natury było ono jednak zbyt monotonnym, zbyt szarem spędzeniem czasu, nużyło ją i czuła, że nie daje jej tego zadowolenia i radości, jakaby mogła dać inna ruchliwsza, energiczniejsza praca. Że również oddziaływało na jej zdrowie, była anemiczna i osłabiona.

Zamiłowanie do ręcznej pracy, do ślusarki, do wszelkich mechanicznych rzeczy miała p. Mańkiewiczówna od dzieciństwa prawie.

Czy to zreperować jaką zabawkę, czy zamek przy drzwiach, czy poprawić coś w mechanizmie maszyny do szycia wszystko to ją pociągało i robiła to równie zrećnie i sprytnie, jak każdy chłopak.

Gdy tylko nadarzyła się pierwsza sposobność, wstąpiła na praktykę do dużej pracowni slusarskiej, gdzie remontowano samochody.

Tu nabrała decydującego zamiłowania do automobilizmu i przez półtora roku pracowała na prawach robotnika, zapoznając się z różnymi typami samochodów.

„Nie pamiętałam wtedy co to znaczy ucieszenie, sukienka, białe i delikatne rączki, cały dzień usmolona i czarna, jak kominarz, nie zaglądałam nawet do lusterka”.

Po ukończeniu praktyki, chcąc gruntownie poznać teorię i złożyć egzamin szoferki zapisała się p. Mańkiewiczówna na 3 miesięczny kurs kierowców samochodowych inż. Lenartowicza, który też doskonale ukończyła i zdała znakomicie egzamin szoferki.

Byłam ciekawa, jak egzaminatorzy odnieśli się do pierwszej egzaminowanej szoferki. Wspomnienie to ożywiło widocznie i zabiawiło p. Blandynę. „Trzymali mnie przeszło trzy godziny, teoria i praktyka razem naturalnie. Kazali mi tak długo jechać tyłem, że mi literalnie kark drętwiał. — Ale to nic dziwnego! Samabym była ciekawa na miejscu tych panów, czy taka pierwsza kobieta naprawdę gruntownie zna swój zawód”.

Niedługo potem zaczęła p. Mańkiewiczówna jeździć na taksówce. Pytałam, czy jazda taka bardzo ją męczy? Otóż nie! dzień cały przebyty na powietrzu przy pracy (jeździ koło 12-tu godzin dziennie) słu-

ży jej doskonale, pozbyła się anemji, jest różowa i opalona, sen i apetyt ma doskonały.

Samo kierowanie autem jest dla niej niewyczerpanym źródłem przyjemności i zadowolenia z siebie, żyćby już chyba bez auta nie potrafiła.

Ruch, życie wokół, swoboda, niezależność od kaprysów żadnego szefa czy kierowniczk. Tu p. Blandyna porównuje życie swoje z życiem urzędniczki, nauczycielki, biuralistki, lub innych pracownic, skrupupolnych godzinami pracy, nadzorem ustawicznym jakichś władz sobie przełożonych i t. p.

Toż to istne niewolnice. Przytem do wielu fachów trzeba się lata całe przygotowywać, kształcić, wreszcie lata pracować nim się jako tako zacznie zarabiać. Zarobek kobiety wykształconej nawet w większości wypadków waha się koło plus minus 200 zł., podczas gdy ją zarabiać mogą od 400—500 zł. miesięcznie, nie przepracowując się zbytecznie, wzięwszy już pod uwagę nadmiar taksówek w Warszawie, to że nie mam auta własnego, ogólną stagnację i t. p. Przytem pracując sama na siebie prawie od dzieciństwa, nie mogłabym przygotować się do fachu, wymagającego kilkuletniego kształcenia się.

Ciężkie chwile bywają naturalnie i w tym fachu i to nie rzadko, zimno, niepogody i błoto, gdy popsuje się cokolwiek w maszynie i trzeba gdzieś w drodze, często wobec tłumy gapiów uskutecznić samej reperacje. A każdy, kto zna cokolwiek samochód, wie, co to za skomplikowane i kapryśne stworzenie. Miałam też niejedną chwilę zstąpienia we własne siły i zniechęcenia”.

Na obiad lub inny posiłek zajeżdża p. Blandyna do jadalni lub kawiarni, gdzieś na ustronniejszej ulicy, gdzie może, jedząc, usadówiwszy się przy oknie, nie tracić z oczu swego auta.

Poznawszy w przeciągu kilkomiesięcznej praktyki wszelkie warszawskie typy, nauczywszy się trafnie i szybko ocenić swoich pasażerów, za miasto wyjeżdża tylko z osobami budzącymi zaufanie. W początkach jazdy miała parę niemiłych zajęć z mężczyznami i jedno z nich skończyło się nawet na posterunku policji. Naogół mężczyźni odnoszą się do p. Mańkiewiczówny poprawnie.

„Dziwi mnie i przykry jest raczej stosunek kobiet do mnie, nie rozumiem ich” — opowiada.

„Za cały czas jazdy taksówką miałam zaledwie trzy razy pasażerki same kobiety. Dwa razy były to studentki, raz jakaś pani z prowincji. Inne panie, gdy towarzyszący im panowie, kierowali się do mego auta, wzbraniały się jechać, delikatniejsze wymawiały się pod rozmaitemi pretekstami, inne wprost niegrzecznie oświadczały, że same z kobietą nie pojadą. Jak można być tak nie delikatnym i tak bez kobiecej ambicji?” dodaje p. Blandyna.

Razu pewnego, gdy jakieś panie nie chciały jechać, towarzyszy ich posunął się aż do błagi, twierdząc, że niema na przystanku innego auta. Zaniepokojone anty feministki nolens-volens wsiadłszy nie przestały prosić i ostrzegać, by p. Mańkiewiczówna jechała pomału i ostrożnie. Po skończonej jednak jeździe tak nabrały do niej zaufania i sympatii, że zapewniały ją, iż odtąd jeździć będą tylko z szoferkami.

P. Mańkiewiczówna w rozmowach ze mną kilkakrotnie podkreślała z naciskiem nadzwyczaj życzliwy i serdeczny stosunek kolegów-szoferów. Nigdy żadnej zawiści, lub lekceważenia, zawsze chętni do rady i pomocy, otaczali prawdziwą opieką koleżankę „jedynaczkę”.

Z samochodów najlepiej lubi p. Blandyna niewielki „Fiat” model 501, „miły i lekki w prowadzeniu”. Kieruje zresztą z równą łatwością każdym autem, czy to europejskim, czy amerykańskim.

I. F.



KARTKI Z ŻYCIA

PAN ŻABIŃSKI I... NIEPRZYSZYTY GUZIK.

W jadalnym pokoju państwa Żabińskich rozległ się śmiech serdeczny. Pan Żabiński nie posiadał się z radości. Skakał na krześle i śmiał się, śmiał ręką do rozpuku. Aż chłopiec, który odrabiał lekcje przy nim, podniósł głowę i spytał:

— Z czego ty się tak cieszysz, tatusiu?

A i dziewczynka, która siedziała nad zeszytem z rysunkami, spojrziała na ojca pytająco.

Pan Żabiński podniósł binokle, założył je na oczy, przegarnął ręką czuprynę i wskazał synowi palcem jakiś ustęp na szpalcie gazety.

— Przeczytaj to sobie.

Janek odcyfrował:

„Na zebraniu nauczycielstwa departamentu Sekwany, które odbyło się w tych dniach w Paryżu, nauczyciele głosowali jednomyślnie za wprowadzeniem do szkół powszechnych męskich nauki cerowania, łatania i szycia, dowodząc, że każdy chłopak musi to umieć od dziecka, nie żeby dopiero jak przyjdzie konieczność”.

Nie skończył i wybuchnął kaskadą śmiechu, jak ojciec. Aż szyby zabrzęczały w oknach.

— To paradnel.. To paradnel! Jak baby— z igłą, gałganem i starą pończochą, do szkoły. Tatusiu, tatusiu... nie, co by to było, żeby u nas tak samo?

Zaraza śmiechu ogarnęła wszystkich, bo nawet Krysia, nie rozumiejąc, o co chodzi, zaczęła skakać i wtórować cieniutko: To paradnel To paradnel..

We drzwiach stanęła pani Żabińska z prześcieradłem, które właśnie złożyła. Za nią — niania z prześcieradłem, które miały zacząć składać razem z panią. Na próg wtoczyła się kuleczka biało-różowa — trzyletnia Baśka, która bawiła się w kuchni przy matce. Widząc Janka i Krysię rozskakanych, rozbawionych i tatusia, któremu trzęsła się ze śmiechu czupryna, klasnęła rączkami, próbowała skakać, jak starsi, ale wyrzuciła koziołka.

— Co się stało? — Z czego taka radość?

— Czytaj, czytaj, mamusiul! — Przeczytała.

— No, i co w tem zabawnego? Naturalnie, że chłopiec powinien umieć zasadnicze roboty ręczne. W Szwecji, Danji, Norwegji wprowadzono to już oddawna.

— Hofmanowa ci się kłania i różne Kuczalskie — Reinschmidt, stara pedantko, Możebyś chciała, żeby Janek obszywał Krysię, a ona za nlego chodziła na football?

Pani Żabińska ruszyła ramionami i wyszła ze swoim prześcieradłem napowrót do kuchni.

Kończmy, nianiu, prędzej. Trzeba przygotować wieczerzę, nakarmić Baśkę i popędzić starsze dzieci do snu. Muszę mieć spokój, bo cała fura kajetów przedemną do poprawiania. Jutro wstaniemy wcześniej, bo niania jeszcze przed mojem wyjściem musi wrócić z magła.

Było jeszcze kilka obrusów i reszta prześcieradeł do złożenia.

Pan Żabiński zsunął Baśkę z ramienia, posadził ją sobie na kolanach, dał jej książeczkę z obrazkami do oglądania i wrócił do swojej gazety. Ale po chwili zawołał:

— A prędko skończycie? Bo nam się już jeść chce wszystkim. Prawda dzieci.

Tak, tak...

Janek i Krysia zerwali się, pobiegli do kuchni, żeby zapytać co będzie na kolację?

„Na wieczerzę”, — poprawiła matka, stara pedantka, polonistka.

„Na wieczerzę, na wieczerzę” — zaczęli wyszpiewywać w takt fox-trotta, którego często nucił ojciec.

Wreszcie Krysia wspięła się do ucha niani i po cichu:

— No, co będzie?

Niania wskazała oczami wielki półmich na blasze pod pokrywą, z za której wyglądały racuchy.

Dzieci zaczęły skakać i wpadły do ojca z nowiną.

W kwadrans potem siedzieli wszyscy przy stole. Racuchy znikły w niespełna pięć minut z półmiska.

O 10 godzinie dzieci już spały. Pan Żabiński w łóżku doczytywał swoją gazetę. Pani Żabińska zasiadła nad stołem kajetów.

Północ wybiła, gdy czerwonym ołówkiem podkreśliła błąd ostatni. Spać jej się chciało, ale trzeba było jeszcze przygotować krajanki do biura dla męża, do szkoły dla siebie i dzieci, no i wydzielić wszystkie porcje Baśki, żeby niania nie miała kłopotu.

Mimo nieopisanej senności, załatwiła wszystkie roboty przeciętno, zajrzała do dzieci, przykryła rozkopaną Baśkę i ucałowała jej płową czuprynkę, która pachniała wiosną. Na palcach weszła do sypialnego pokoju, gdzie mąż już spał w najlepsze z niedokończoną oczywiście gazetą na piersiach. Rozebrała się szybko i zasnęła natychmiast.

Obudziło ją uderzenie szóstej godziny na ściennym zegarze w jadalnym pokoju.

Zerwała się. Trzeba było czempredziej wyprawić nianię do magła, zostawić jej pieniądze na obiad, ubrać się, zrobić śniadanie.

Oby tylko nie obudziła się Baśka, bo wtedy...

Senna jeszcze, związała się cicho, myśląc z rozkoszą, że pojutrze niedziela i że będzie mogła pospać przynajmniej do 8-ej.

* * *

Kwadrans przed 8-mą p. Żabiński obudził się. O 8 $\frac{1}{2}$ musiał wyjść do biura. Zajrzał do kuchni, czy niania już wróciła? — Paczka z magła leżała na kufrze, ale jej nie było. Pewnie wybiegła po zakupy na obiad. Jednak kawa gorąca stała na blasze. Umył się, zjadł śniadanie w rannym szlafroku, skończył wczorajszą gazetę i cicho na palcach, żeby nie obudzić Baśki — wrócił do sypialni.

Był kwadrans po 8-ej, szybko wrzucił na siebie ubranie.

W tej chwili zgrzytnął klucz w kuchennym zatrzasku. Niania wróciła. Wspaniale. Może wyjść spokojnie, choćby nawet obudziła się Baśka.

Podśpiewując „Ciotkę”, wbiegł do przedpokoju i zdjął palto z kołka. Ale czy szarpnął niem bezwiednie, czy też wisiało na jednej nitce zaledwie — dosyć, że zerwało się wieszadło. W dodatku przypomniał sobie, że odpadł mu wczoraj guzik i to na bardzo widocznym miejscu. Miał prosić żonę, żeby mu przyszyła i zupełnie wyszło mu to z głowy.

Co teraz będzie?

Spojrzał na zegarek. Za pięć minut musi wyjść. Może niania zdąży? — Choćby tylko guzik. Bo jakżeż tak przez ulicę... jak jak jaki oberwus?

Ale — nim wyszedł do kuchni, obudziła się Baśka i zaczęła wołać: Mamusiu, mamusiu.

Wpadła niania, wzięła dziecko na rękę i uspakajała.

O przyszwyciu guzika, oczywiście, mowy być nie mogło. Spróbuje sam.

— Czy niania nie wie, gdzie pani ma igły i nici?

Nie wiedziała. Zaczęli szukać oboje — niania z rozpląkaną Baśką na rękę. Znaleźli wreszcie. Pan Żabiński zabrał się do roboty. Ale szło jak z kamienia. To wypadła mu z palców igła. To jakieś głupie pętelice robiły się na nitce. To leciał guzik na ziemię.

Pot wystąpił mu na czoło.

— Aby trzymał się jako tako. To potem żona umocuje...

Już zdawało się, że igła sięga guzika przez kort palta, gdy wtem zegar wydzwonił jeden ton przeciągły.

8 $\frac{1}{2}$ — musi wyjść natychmiast.

Rzucił igłę. Wsunął guzik do kieszeni. W palcie bez wieszadła, rozpięty od dołu, pędził, jak szalony, żeby zdążyć przed upływem kwadransa zapisać się na listę obecności.

Na dobitek złego zapomniał teki, w której były ważne papiery. Musiał wrócić. Nie zdążył na czas. A wszystko przez ten guzik przekłęty.

Zdawało mu się, że nie było przechodnia, któryby nie patrzył z ironją na niedopięte jego palto. al.

Z TEATRÓW



TEATR IM. BOGUSŁAWSKIEGO.

Wystawienie „Achilleidy” w Teatrze im. Bogusławskiego jest czynem olbrzymim, wartością kulturalną. Inscenizacja tych „scen dramatycznych”, — jak nazwał Wyspiański swoje dzieło, — przedstawia niemałe trudności reżyserskie. Promienna wizja Wyspiańskiego nie znosi zetknięcia się ze światem zbyt realnym, swoisty rytm jego poezji wymaga specjalnego mówienia wiersza, by nie stał się monotony i rozwlekły. Dotychczas żaden teatr w Polsce nie pokusił się o zagranie „Achilleidy”, aczkolwiek utwór ten oddawna był oceniany jako jedno z najbardziej poetyckich i pięknych z utworów Wyspiańskiego. Tem większe też zasługi ma kierownictwo Teatru, dając nam poznać arcydzieło Wyspiańskiego z desek scenicznych, to jest w jego właściwej formie, gdyż Wyspiański był przedewszystkiem dramaturgiem i pisząc „widział” rzeczy swoje na scenie Panowie Pronaszkiowie bardzo szczęśliwie rozwiązywali trudny problem dekoracyjny. Pewną monotonię wybaczymy chętnie przez wzgląd, że musieli przesunąć przed naszymi oczyma aż 26 scen! Reżyserja p. Szyllera zasługuje na najwyższe uznanie; zwłaszcza obraz Fal był skńczieniem piękny. Z wykonawców na plan pierwszy wysuwają się pani Solska (Hipodamja), p. Zelwerowicz (pyszny Tersytes) i p. Justjan, doskonały w masce i mimice Odys. Pan Strachocki był poprawny w trudnej roli Achillesa. Reszta zespołu wykazała się rzetelną pracą i zapalem Wolęlibyśmy, oczywiście, słyszeć wiersz Wyspiańskiego mówiony inaczej, ale dykcja jest słabą stroną — niestety! — większości naszych artystów.

Kierownictwo Teatru Im. Bogusławskiego powiązało liczne sceny „Achilleidy” w cztery części. Dla łatwiejszego zorientowania się widza wydano doskonały skrót, który stanowi niemałą pomoc przy słuchaniu tego arcydzieła poezji polskiej „Achilleida” bowiem wymaga od widza znajomości kultury antycznej i dzieł Homera. Uwagi i pytania, słyszane przeze mnie na widowni podczas przedstawienia premierowego, mówią wyraźnie, że istotnie znajomość świata starożytnego jest bardzo mała. Z. P.



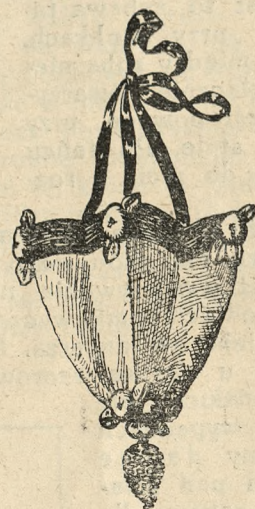
JABLUSZKA I SZYSZKI

Oryginalnem i ciekawem przybraniem całego szeregu przedmiotów mogą być zwykłe szyszki i jabłuszka zrobione z kawałków jedwabiu. W okresie Świąt,

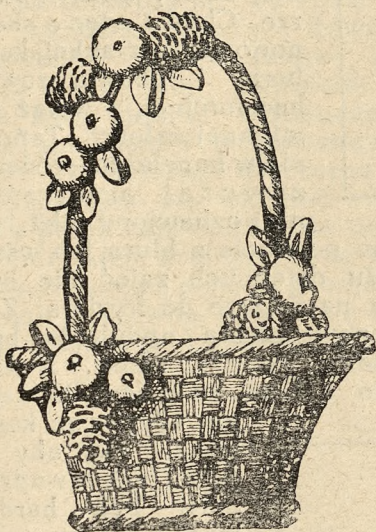
można je polakierować lakierem przezroczystym, pozłocić, lub tylko pędzelkiem umaczanym w złotym bronzie dotknąć czubki szypulek.



2



3



1

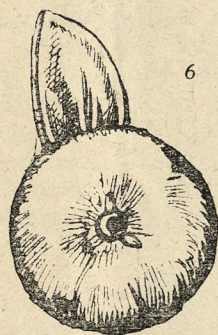
góry wstążeczką, lub ozdobnym sznureczkiem i odpowiednio przybrany może stanowić bombonierkę, lub koszyczek do roboty. Wreszcie r. 3 — to abażurek przybrany wstążką i temiż szyszkami i jabłuszkami, zrobionemi z jedwabiu.

A teraz posłuchajcie, jak to przybranie zrobić należy. Szyszki trzeba wybrać ładne, nie uszkodzone,

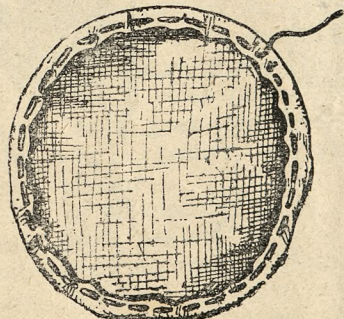
kiedy tylu osobom trzeba dać jakąś bagatelkę, pomysł nasz przydać Wam się może. Popatrzcie na załączone rysunki: r. 1 to zwykły koszyczek z pałąkiem, w każdym domu znajdzie się taki od kwiatów. Trzeba go wymyć, lub świeżo polakierować, a przybrany jak na rysunku i nałożony owocami, lub słodyczami, będzie stanowił ładny upominek.

Tak samo rys. 2 — to koszyczek okrągły, od bułek, lub nawet zwykły, okrągły, wiklinowy, od owoców.

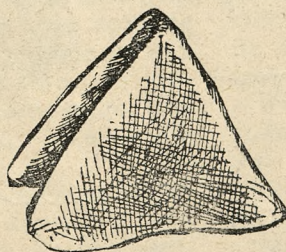
Wszyty jest wewnątrz kawałkiem satyny, lub jedwabiu, który przszyty mocno do brzegów koszyczka, nawleczony u



6



4



5

Listki robi się zielonego jedwabiu, lub tiulu, pociętego na kwadraciki około 9 ctm. szerokie i długie. Taki kwadracik składa się na skos, na połowę, a potem znowu na pół (rys. 5) i marszczy u dołu. Na jabłuszko trzeba wyciąć kółko o średnicy 7 ctm., zmarszczyć je naokoło, włożyć wewnątrz płaski kawałek waty (rys. 4) i przyciągnąć materiał. W środek wszywa się paciorek drewniany mocno przyciągając i jabłuszko gotowe (rys. 6). Jabłuszka takie można zrobić z kawałków jedwabiu, lub satyny, najlepiej żółtej, a kolorki namalować czerwoną farbą, aby wyglądały na naturalne.

DANCINGI I LEKCJE TAŃCA

Warszawę ogarnął istny szal przedkarnawałowy: dancing na Czerwony Krzyż, dancing na Białym, dancing lotników, w Bristolu, w Europejskim, w Kasynie Garnizonowym...

Dlaczego uporczywie nazywamy wszelkie tańczące herbatki i kawki dancingami — dokładnie niewiadomo. Pewno dlatego, że jest to słowo „zagraniczne“, które nie każdy umie wymówić. Jedni mówią „dansink“ inni „dancink“, żeby zaznaczyć, że wiedzą, że się pisze przez „c“. Autentyczny amerykański dancing jest to zabawa tańczeniowa przy stolikach. Tańczą między sobą niemal wyłącznie towarzystwo zgrupowane przy jednym stole. Po tańcu wracają do picia i rozmowy.

Jest to o wiele przyjemniejsze, zwłaszcza dla osób mało tańczących, niż wysiadanie na krzesłach, pod ścianami i wczekiwanie beznadziejnie na tancerza. Niektóre dancingi u nas są wzorowane na amerykańskich, ale w wielu wypadkach spotykamy dawne krzesła pod ścianami i zabawę dla szyku ochrzczoną cudzoziemskim mianem — dancing.

Obok dancing'ów modną obecnie chorobą są — lekcje tańca. Co roku przybierają nowe, wymyślne figury, których nieznaną wykreśla panią z rzędu dobrych tancererek. Oczywiście, przecież taki mełt tańca musi też żyć. Lekcje tańca urządzi się zwykle kolejno u znajomych, mających duży salon, lub też w lokalu klubu, albo kasyna.

Godzina, lub dwie nauki, a potem tańiec dla wprawy ile starczy sił i ochoty, choćby do białego rana. Z pożytkiem i ciekawie. Lekcje tańca mają tę dobrą stronę, że od biedy



powodzeniem. Słusznie zresztą. Jest to rozrywka o wiele tańsza, niż karty i restauracje, a przytem nieskończenie mniej szkodliwa dla zdrowia zarówno fizycznego, jak moralnego. Szczęśliwi mężczyźni, kwestja tualetowa dla nich jest prosta i jasna: smoking na dancing wieczorowy, ciemna marynarka na dancing dzienny, lub lekcję tańca. Dla nas jest to sprawa bardziej skomplikowana.

Żadna z nas nie zgodzi się na ustawiczne bywanie zawsze w tej samej sukni, jak w mundurze. Chodzi więc o skomponowanie z sukni, kapelusza i obuwia zawsze harmonijnej, a wciąż odmiennej całości. Tańczenie w kapeluszu — również z wyczał amerykański, nie pozbawiony zalet. Nie-

można ich nie przerywać ani w adwencie, ani w wielkim poście. Przecież uczyć się można zawsze, nieprawdaż! Mimo rzeczywistego braku gotówki wszelkie dancingi i lekcje tańca cieszą się ogromnym

raz po powrocie z biura, lub wśród nawału dziennych zajęć nie było czasu na pójście do fryzjera. Zresztą zbyt częsta ondulacja względnie niszczy włosy. A więc jak to dobrze, że można tańczyć,

nie zdejmując kapelusza. Ale, aby w tańcu nie zawadzał, musi być bardzo lekki i bardzo mały. Jeżeli zdoła go egrety, lub cross'y, niech będą tak umieszczone, by nie wykłuwały oczu tancerzowi i nie lechtały go ustawicznie po twarzy. Na dziennych dancingach dużo widuje się sukien czarnych, jedwabnych. Czarny kolor jest bardzo modny w tym sezonie. Kolorowy kapelusz i pstra chustka baticzowa, lub futrzana etola, zmieniają taką suknię do niepoznanania.

Zresztą czarna suknia wogóle mniej się opatruje, niż kolorowa. Na lekcję tańca można śmiało włożyć jumper jedwabny, lub haftowany casaque do karbowanej spódniczki z jedwabiu, lub lek-





bowaniach, na suknie wieczorowe crêpe georgette niema sobie równej.

Widziałam rozkoszną suknię, marzenie każdej blondynki, z georgette koloru parme (szaro-fioletowy) cieniowany coraz ciemniej ku dołowi. Zębate kłosze były wstawione w tonie najjaśniejszym. Całość



kiej wełny. Nie należy tylko nigdy wkładać sukni z grubego materiału z długimi obcisłymi rękawami. Podczas tańca da się we znaki niczem pancerz żelazny. Również pantofelki — należy zawsze pamiętać o tem, aby pantofelki do tańca były dobrze rozchodzone, inaczej sprawiają wyrafinowane męczarnie. Na dancingi wieczorne lepiej kapelusza nie wkładać. Najlepszy przez całą noc będzie uwierał. Materiałem królującym na wieczornych dancing'ach jest georgette. Miękka i powiewna, dyskretnie matowa, idealna w draperjach i kar-



prześliczna — również dyskretna, jak wytworna.

Inna suknia z georgette'y granatowej była haftowana w wielkie maki cyclamène, także bardzo ładna. Fourreaux ze srebrnej, lub złotej koronki są zbyt, na który nie każdy może sobie pozwolić, a przytem — rzecz paradoksalna — wyglądają trochę pospolicie, może dlatego, że te, które ja widziałam były na bardzo jaskrawej podszewce. Zasłużonem powodzeniem cieszą się wszelkie aksamity i welwety, stosowne zarówno na dzienny, jak i wieczorowy użytek. W. L.

DŁUGIE CZY KRÓTKIE WŁOSY?

Długie czy krótkie włosy, to dylemat, który staje dziś przed każdą kobietą, chcącą ładnie i modnie wyglądać. Dylemat poważny, bo obciąć włosy łatwo, ale cóż ma uczynić nieszczęsna ofiara mody, gdy w momencie, w którym długie sploty opadną ucięte na podłogę, stanie się oczywistym, że z krótkimi włosami jest jej zupełnie nie do twarzy. Położenie prawie bez wyjścia! Na odrośnięcie ponowne włosów trzeba długo czekać i co gorsza trzeba przejść przez fatalny okres „odrastania”, kiedy to wykluczona jest zgóry wszelka możliwie estetycznie wyglądająca kuafiuera. A jednak trzeba sobie powiedzieć, że krótkie włosy to signum temporis. A znak czasu to potężna siła, trudno jej nie ulec. To też kobiety młode i stare, piękne i brzydkie, i te z cudnymi ciężkimi warkoczami, i te z ubogiem uwłosieniem — wszystkie, literalnie wszystkie, ucinają sobie włosy!

Na balu w jednym z bardzo uczęszczanych letnisk zagranicą na pięćset tańczących kobiet jedna tylko miała włosy długie, jedna, śliczna, złotowłosa polka o dużych i ciężkich warkoczach i... wyglądała jak anachronizm. „Ależ właśnie dlatego, że włosy są duże i gęste powinna je pani uciąć”, starała się ją przekonać jedna z modniś paryskich.

Czy istotnie nie miała słuszności?

Wielkie, ciężkie włosy wyglądają cudnie, gdy są rozpuszczone, a więc tylko w pokoju sypialnym, albo gdy, splecione w dwa warkoczki spadają na plecy, a więc w ogrodzie na wsi, lub z rana przy krzątaniu się dookoła gospodarstwa domowego. Czy to wygodne, to rzecz inna — ale ładne.

Natomiast t. zw. „olbrzymie włosy” prawie zawsze szpecą głowę, gdy są upięte. Bardzo, bardzo rzadko upięcie takie nadaje głowie ładny kształt, a już nigdy, dosłownie

nigdy, nie wygląda dobrze w kapeluszu.

Te nieszczęsne kapelusze! Dziś kobieta z długimi włosami nie może literalnie dobrać sobie odpowiedniego gotowego kapelusza, bo poprostu w całej Warszawie niema kapeluszy obliczonych na długie włosy. „Dziś nikt nie nosi długich włosów”, odpowiada uważnym tonem modystka, chowając do szuflady kapelusz o malutkiej zręcznej główce, obliczonej na krótko strzyżoną czuprynkę. A więc wracamy do tego samego — signum temporis. Główki krótko ostrzyżone są ładne, wiążą się doskonale z nowoczesną linią sukien, mają wdzięk.

Włosy często myte są miękkie, puszyste — lśnią czystością. Głowa jest lekka, estetyczna, wolna od grzebieni, „które ciągną”, od szpilek, „które uwierają”, od wszelkich sztucznych loczków i obłych postiche'ów, które do niedawna psuły linię głowy każdej niemal kobiety!

Jakiż to ogromny krok naprzód. Tak, tak, wbrew wszelkim ubolewaniom ciotek i mocno zgorszonej babci! Ta rozwiana czupryna, i ten czysty podgolony kark jest o wiele zdrowszy i o wiele estetyczniejszy od tych wszystkich misternie układanych nad czołem sztucznych loczków, od owego przypinanego warkocza, który nosiło się latami i nie myło nigdy!

W tej modzie krótkich włosów, tak bardzo odmładzającej każdą dosłownie twarz, jest o całe niebo więcej szczeroci i bezpretensjonalności, niż w owej przedwojennej kuafurze, co to nawet napół łysym kobietom kazała udawać, że mają wielkie warkoczki, z których mogą upinać odstające na ćwierć metra koki.

Zresztą obcięcie włosów ma jedną zaletę: nawet bardzo ubogie włosy obcięte — wyglądają suciej, a co za tem idzie estetyczniej, niż skręcone w żałośliwie ubogi „koczek”. Jest faktem, że długie włosy przestały już entuzjasmować poetów, jak zresztą przestała entuzjasmować pleć piękną jedwabista, do pasa sięgająca broda i długie „pokrętne” wąsy.

Żale poety z XVIII w., który biał nad goleniem twarzy męskich i pisał wiersz, ubolewający nad zanikiem owej ozdoby twarzy, wróżąc, że wraz z ogoleniem wąsów zanikną w Polakach wszystkie cnoty odwagi i męstwa — żale te już dawno przebrzmiały. Żadna młoda dziewczyna, nie zachwyca się wąsami à la Sobieski, i kto wie, kto wie, może za lat 100 żaden młody chłopiec nie będzie wzdychał do długich warkoczy swej bohdarki, bo tych warkoczy nie będzie.

Przecież w epoce celtyckiej wdzowie Gallijscy nosili długie warkoczki, spadające im na piersi! (Jeżeli nie wierzycie, obejrzyjcie Musée de l'armée w Paryżu)! Prawdopodobnie, gdy potem przyszła inna

moda i włosy zostały ostrzyżone krótko — ciocie i babcie tychże wózków podnosiły nieludzki lament i wróżyły nieuniknioną dla pokolenia swego zagładę. Ale jakoś jednak wszystko dobrze poszło i dziś żadna najpoważniejsza matrona francuska nie ośmieliłaby się zaproponować ministrowi wojny, lub admirałowi floty francuskiej, by gwoli powagi nosiła długie, plecione warkoczki swych przodków. Wszystko zda się wróżyć, że „u mojej Jadwisi warkocz jeden, drugi” już też należy do przeszłości.

A jednak! Jest ale! Tem „ale” jest fryzjer.

Kobiety, które mają włosy puszyste i naturalnie wijące się zawsze wyglądają ładnie, (a takie trafiają się jedna na 100 tysięcy), wreszcie główki, które mogą sobie pozwolić na włosy strzyżone i zupełnie gładkie! Reszta głów — to ofiary fryzjerów! Co tydzień trzeba głowę umyć (to piękne) i spędzić dobrą godzinę u fryzjera (to fatalne). Fryzjer nie tylko zabiera czas, ale fryzjer kosztuje.

O tem musicie pamiętać drogie Panie. Musicie pamiętać, bo włosy krótkie, a źle utrzymane, to grzech nie do darowania.



B A T I K

II.



Największym wysiłkiem przy batikowaniu jest farbowanie; ostatecznie wszystkie prace poprzedzające barwienie były pracami przygotowawczymi — a wartość batiku będzie zależeć w znacznej mierze od trwałości barw i piękności gamy kolor stycznej.

Jak farbić? Czem farbić? oto problem niezmiernie ważny dla amatorów batiku; dwa te pytania są przedmiotem ożywionej dyskusji między ludźmi zawodowo pracującymi w przemyśle artystycznym, dyskusji opierającej się na znajomości chemii nowoczesnej, na doświadczeniach farbiarskich i na wynikach barwienia, jakimi są batiki jawańskie i europejskie (niemieckie, holenderskie, polskie).

Barwić można bądź barwikami naturalnymi, cz. roślinnymi, bądź sztucznymi, chemicznymi.

Barwiki roślinne były używane przez ludzkość od najdawniejszych czasów, aż do połowy 19 wieku. Były prosto wywarami z różnych części drzew i roślin — z ich kory, łądy, liści, gałęzi, kwiatów, lub owoców, zbieranych w określonej

porze roku, — suszonych, lub na świeżo preparowanych. Wśród barwików naturalnych tylko koszenila jest pochodzenia zwierzęcego.

Barwiki naturalne otrzymuje się przeważnie z roślin podzwrotnikowych. Należą do nich: indygo (b. niebieski), kamieszowe drzewo (b. czarny, lub niebieski), czerwone drzewo t. zw. Brazylja (czerwony lub brązowy), krapp (czerwony), quercitron i ekstrakt z niego t. zw. Flawine (żółty), orselja wyciągana z porostów morskich (rudo czerwony), krokosz (czerwony), kurkuma (pomarańczowy), żółte drzewo (żółty), rezeda farbiarska (j. — zielony). Oprócz tych zamorskich środków farbiarskich używano w Europie miejscowych roślin. Lud nasz farbował do niedawna materiały na ubrania swojskimi barwikami roślinnymi, — zarówno lud, jak i dwory barwiły niemi wełnę na pasiaki i kilimy, a wiele przepisów farbiarskich zawierają jeszcze stare książki gospodarskie, roczniki „Piasta” i innych pism dawniejszych.

Jeżeli chodzi o batiki — oryginalne wyroby jawańskie są barwione

wyłącznie barwikami roślinnymi. Jakżeż inaczej mogło być u mieszkańców Jawy, dookoła których „przelewają się” wprost naturalne bogactwa przyrody — a którym natomiast obcą jest wynalazcza, naukowa i fabryczna gorączka Europejczyków!

U nas znane z wyrobów batikowych „Warsztaty krakowskie” — może jedyna instytucja uprawiająca tę sztukę systematycznie i niejako zawodowo — oparły się na tradycji i trzymają się wyłącznie barwików roślinnych, wykluczając ze swych doświadczeń, a nawet potępiając barwiki sztuczne.

Zaletą barwików naturalnych jest: 1) niezawodna szlachetność barw i zestawień kolorystycznych. Niema przy ich użyciu niebezpieczeństwa, że się otrzyma tony ostre, surowe, krzykliwe, nieraz prostackie, — których dostarczają tak często barwiki sztuczne, 2) duża odporność względem światła i powietrza, cz. krócej mówiąc trwałość; 3) możliwość barwienia nimi bez zbytecznego zagłębiania się w studjum chemii. Wystarczy tu znajomość



podstawowych jej zasad (chodzi o działanie kwasów, soli, ługów itp. przy zaprawach).

Złą stroną barwików naturalnych natomiast jest to, że potrzebują stosunkowo wiele miejsca i wymagają dużo pracy, gdyż zaprawianie tkanin, o którym już poprzednio wspomniałam, przede wszystkim do barwików naturalnych jest niezbędne. Zaprawy nie tylko wiążą kolor z materiałem, ale współdziałają z powstawaniem kolorów; często jeden i ten sam barwik daje kilka odmiennych kolorów zależnie od użycia rozmaitych zapraw, wskutek czego barwienie przestaje być tak prostą rzeczą, jakby się początkowo zdawało. Przykładem tego może być koszenila, która na zaprawie alunowej daje kolor karmazynowy, przy dodaniu kamienia winnego do kąpeli farbiarskiej daje kolor czerwony, z mlekiem wapiennym — fioletowy, z chlorkiem cynawym — czarnym, z chlorkiem cynawym — żółty, z octanem żelazawym — brązowy, z azotanem srebra — czysty żółty.

Dlaczego zaprawianie (hajcowanie) jest potrzebne? Przy farbowaniu cząstki barwika nie mają pokryć powierzchni materiału jak to się dzieje przy malowaniu, lecz mają utworzyć z nim trwałe związki. Niektóre barwiki, t. zw. bezpośrednie, same przez się tworzą z włóknami taki związek, — chemia nazywa to zjawisko powinowactwem między materiałem a barwikiem. Jeśli tego powinowactwa niema, potrzebnym jest jakiś pośrednik, który mając powinowactwo i do włókien i do barwika dopomógłby do połączenia się tych dwóch materiałów. Takimi pośrednikami są zaprawy niezbędne przy używaniu barwików roślinnych.

Najpotrzebniejszymi zaprawami jest alun itanina, — oprócz nich potrzebne są w najrozmaitszych zestawieniach kwasy: solny, azotowy i siarkowy, * cyna, winian potasu, dwuchromian potasu, siarczan żelaza (w ludowej gwarze koperwas



zielony), siarczan miedzi (koperwas niebieski) i t. p.

Z powyższych wywodów jest rzeczą widoczną, że barwikom tym trzeba poświęcić dość miejsca i uwagi. Barwiki i związki chem. do zapraw, które musi się mieć zawsze pod ręką — powinno się przechowywać w słojach szklanych, szczelnie zamkniętych szklanymi korkami.

Potrzebne są naczynia do sporządzania zapraw i farbienia, miary do odmierzania drobnych ilości płynów (miary ze znaczeniami centymetrami kubicznymi, używane przy nauce chemii) i t. p.

Przy wpływie znacznym zapraw na kolor trzeba przeprowadzić wiele prób, by nabyć przez doświadczenie znajomość tonów i odcieni, które tylko ogólnie można w przepisach zaznaczyć.

Z powyżej wymienionych powodów barwiki te przy swoich wszelkich zaletach są niewygodne w prak-

* Kwas siarkowy jest silną trucizną; — krople jego wypalają dziury w ubraniu. Obecnie aptekom nie wolno go sprzedawać bez recepty lekarskiej, lub osobnego pozwolenia miejskiego fizykatu.

tyce, zwłaszcza w mieście. Można je zalecać bądź osobom, które mieszkając na wsi łatwiej mogą poświęcić na stałe jakiś kąt w mieszkaniu dla farbiarni — bądź tym, którzy, mieszkając w mieście, będą uprawiać batik zawodowo, prowadząc pracownię — tak jak się prowadzi pracownię haftów artystycznych, czy koronek.

Na wsi tem łatwiej można polecić barwiki roślinne, że posiada się tam możliwość wykorzystania swoich roślin farbiarskich, barwiąc odwarami z kory brzozy lub janowca (k. brązowy), z łodyg pospolitej gryki (k. niebieski), z jagód ligustru, lub czarnych borówek, z rezedy i t. d.

Kto pragnie bliżej się zapoznać z barwikami roślinnymi, traktując batik poważnie jako gałąź przemysłu artystycznego temu mogę polecić wyczerpujący, jasno i dokładnie pisany podręcznik N. Okołowicza p. t. „O farbowaniu batiku, czyli tkalniny woskiem pisanej“, — wydana staraniem szkoły sztuk pięknych w Warszawie 1925. Nie spotkałam tego dzieła dotąd w handlu księgarskim, — widziałam je tylko w czytelni krakowskiego muzeum przemysłowego.

Być może, że podręcznik ten nie będzie drukowany dla szerokiego ogółu, lecz wyłącznie dla specjalnych amatorów; kto jednak — jako taki — uzyska go, skorzysta z tego podręcznika dużo, gdyż zawiera on dokładne przepisy, do zapraw i barwików roślinnych stosowane.

Drugim polskim podręcznikiem jest broszurka Marjana Wisza p. t. „Batik“ — pisanki na tkaninach — wskazówki praktyczne — wydane w Krakowie 1922. Zawiera ona dużo przepisów, nie jest jednak napisana tak systematycznie i szczegółowo jak poprzednia. W książeczce tej jest podana też literatura — przeważnie obca o batik i farbiarstwo.

M. Zawadzka.

ROŚLINY ZNOSZĄCE CIĘŃ

Samotnie stojące drzewo lub rzak są w naturze zjawiskiem dość rzadkiem i nie wywierają silniejszego wpływu na otoczenie, aczkolwiek same przez się mogą posiadać wiele powabu. Lecz nie są one w stanie wydatnie upiększyć, lub zeszpecić krajobrazu, ani nie mogą mu nadać specjalnego charakteru. Dopiero połączenie więk-

szej ilości roślin w skupinę wywołuje silniejsze wrażenie, a umiejętnie rozmieszczenie malowniczo złożonych skupin tworzy obraz, zdolny przemawiać do oczu i duszy patrzącego i budzić nastroje. Jeżeli dołączymy do tego szczęśliwie pomyslane sfałowanie powierzchni ziemi, jeśli widok urozmaicimy szmerzącym strumykiem, srebrną

taśmą rzeki, albo ładnie zarysowanym stawem to wrażenie i nastroje mogą uleść spotęgowaniu. Tu otwiera się wdzięczne pole działania dla ogrodnika artysty; winien on należycie wyyskać warunki miejscowe, a podpatrując najwspanialsze wzory natury — przenosić je, skupiać i naśladować na terenie, przeznaczonym pod ogród strojny. Bo jak malarz

farbami, czerpanemi z palety, tak ogrodnik planista maluje krajobraz z drzew żywych, z krzewów i z kwiatów. I jak malarz znać musi kolory, którymi operuje, tak musi ogrodnik, sadzący skupiny, dokładnie obeznać się z materiałem roślinnym, żeby nie tylko wiedział, które drzewo, lub krzak wyżej wyrosta, które się słabiej rozwija, ale żeby mógł dobrać odpowiednie zieleni, i tworzyć kontrasty, lub harmonijne przejścia; żeby wywołał nastroje poważne, lub wesołe, dobierając krzewy o jasnej, lub ciemnej zieleni, o liściach wielkich, całobrzegich, albo o poszarpanych blaszkach pierzastych, fantastycznie często powycinanych. A jakże doniosłe znaczenie mają kwiaty, owoce, kolor gałązek, albo jesienne liści zabarwienie!

Spojrzymy jednak na parki stare, zwłaszcza pozbawione umiejętnej opieki. Może niegdyś stroiły je malownicze zbiorowiska różnorodnych krzaków, mierzące się jasną lub ciemną zielenią, przetykane jaskrawą purpurą. Lecz z biegiem lat drzewa wznosiły swe konary i rozkładały je szeroko, otulając ich cieniem niższe rośliny. Wśród krzaków jedne oswajały się z nowymi warunkami, inne marniały coraz bardziej, aż wreszcie zamierały, i to przeważnie najszlachetniejsze, najpiękniej kwitnące.

W parkach, racjonalnie i stale pielęgnowanych, można przez umiejętną przycinanie panować nad rozwojem wszystkich roślin, zapewniać im na długie lata dostęp światła słonecznego i możliwość pomyślnego bytowania. Ale trzeba z naciskiem podkreślić, że tylko umiejętne cięcie przynosi dodatnie wyniki, nie zacierając charakteru samej rośliny. Szablonowe strzyżenie tak często niestety spotykane w ogrodach wiejskich, korzyści nie daje żadnych, a niweczy urok właściwy każdemu krzewowi, gdy może zachować typ sobie właściwy. Niestety, mało mamy ogrodników dworskich, którzy potrafią prawidłowo przycinać krzaki. Do ogrodów, które są pozbawione właściwej opieki, należy od czasu do czasu wzywać ogrodnika—planistę w charakterze inspektora, ażeby wykazał braki i udzielił niezbędnych wskazówek, jak im zaradzić należy. Wykwalifikowanych specjalistów wskaże na żądanie Koło planistów przy Tow. Ogrodniczem Warszawskiem.

Ale wyniki walki krzewów z cieniem, rzucanym przez korony drzew, uczą nas, że wśród rozporządzonego materiału roślinnego istnieją gatunki odporne na brak światła. Jest to wiadomość bardzo

cenna, gdy chodzi o wypełnienie pustych miejsc pomiędzy drzewami, o zasłonięcie zwróconych ku północy nagich murów, o dosadze skupin, w których część roślin wyginęła

Zupełnie bez światła żadna żywa roślina zielona istnieć nie może, ale najodporniejsze na zacienienie, więc odpowiednie do wypełniania starych skupin, będą kasztanowice (*Aesculus Hippocastanum*), który nie wytworzy w tych warunkach rozłożystej korony, lecz będzie ciągnął się ku górze, jak zresztą i wszystkie inne rośliny, w poszukiwaniu światła słonecznego; czeremcha (*Prunus Padus*), wiśnia wirginijska (*Prunus virginiana*), wiśnia późno kwitnąca (*Prunus serotina*), większość lip, klonów i topoli, orzech włoski i czarny, jarzębina, sumak (*Rhus typhina*), grab, wiąz—z pośród drzew.

Znacznie obfitszy wybór dostarcza nam szereg krzewów liściastych. Więc ku wielkiemu żalowi planistów—rugowana z ogrodów kwaśnica (*Berberis vulgaris*), sprzyjająca rozwojowi rdzy na pszenicy. Jej piękne, czerwone jagody, zbrane w grona, stanowią nieocenioną ozdobę w jesieni, a wczesną wiosną ukazują się liczne żółte kwiaty. Jeszcze piękniejsza jest kwaśnica purpurowolista, zachowująca ten kolor przez całe lato. Ciemną zielenią liści odznacza się bukszpan, jasny liść ma truszczelina (*Colutea*), krzew mało ozdobny, ale poszukiwany przez dzieci, bo tworzy strąki wydęte w postaci pęcherzy. Ładną, barwną korą na młodych pędach odznacza się dereń czyli świdwa (*Cornus*). Więc ciemnopurpurową ma dereń biały (*Cornus alba*), a żółto zieloną ma jego odmiana, (*C. a. flaviramea*), szkarłatem liści świdwa syberyjska (*C. sibirica*), a pożądane na konfitury owoce rodzi dereń jadalny



(*C. mas*). Odporna jest leszczyna, głóg biały (*Craegus oxyacantha*), trzmielina (*Eonymus europaea*) o młodych pędach zielonych, a starszych kanciarych, ozdobionych białymi żyłkami; nieoceniony ligustr, zatrzymujący liście przez całą prawie zimę, niewybredny suchochrzew (*Lonicera*), mahoń, brunatniejący pod wpływem mrozów; drzewa rosną w cieniu, choć nie kwitną prawie wcale: jaśmińce (*Philadelphus*), szablaki (*Rhamnus*), porzeczki czarne, alpejskie, żółte i inne, róże psie, zwykłe i czerwono-listne, alpejskie i północne (rugosa), jeżyny (*Rubus odoratus*), bzuwina (*Sambucus*), której piękne odmiany żółte, strzępiastoliste, wielkokwiatowe i koralowate nie są należycie doceniane, różne tawuły (*Spiraea*) zwłaszcza wierzbiłki i jarzębolistna, lilki zwykłe (*Syringa*), kalina pospolita, wreszcie jak chwast rozpowszechnione wszędzie śnieguliczki (*Simphoricarpus*), obsypane niby śniegiem, białymi jagodami, które z trzaskiem pękają pod naciskiem stopy.

Gdy pnie drzew stracą dolne rozgałęzienia i sterczą w postaci smukłych nagich kolumn, można je przyozdobić pnączami. W cieniu gęstwy drzew doskonale rość będzie wino samopnące (*Ampelopsis hederacea*, *Enkelmanni*), kokornak (*Aristolochia Siphocampylus*) o wielkich liściach sercowatych i zawsze zielonych, gietkich pędach, bluszcz leśny (*Hedera Helix*), przewiercień (*Lonicera Caprifolium periclymenum*), która ma jednak tę wadę, że od dołu się łatwo obnaża, i kilka innych pnączy, mniej rozpowszechnionych, jak np. *Celastrus scandens*, *Periploca graeca*, *Vitis Labrusca* i t. p.

Jest jeszcze trzecia grupa roślin, stanowiąca za rzadko stosowana—w naszych ogrodach, a mianowicie byliny, czyli rośliny wieloletnie, które na zimę zanikają, wiosną zaś wypuszczają z trwałych części podziemnych nowe pędy, liście i kwiaty. Wśród olbrzymiej ilości gatunków i odmian, często nie zrównanej piękności, są byliny, znoszące cień. Wprawdzie nie nadają się one do wypełnienia wnętrza starych skupin, ale i dla nich znajdzie się pomieszczenie, bo w każdym ogrodzie jest wiele miejsc cienistych, wymagających przyozdobienia albo pokrycia ziemi, gdy trawa się już nie udaje. Dla przykładu weźmy kilka najbardziej znanych: przylaszczka (*Anemone hepatica*) tworzy trwałe, zwarte obwódki, lub kobierce, wyrosta na wysokość 10 cm. i kwitnie bardzo obficie niebiesko, różowo, lub biało. Kopytnik (*Asarum europaeum*) w miejscach mocno

zaciemionych może z powodzeniem zastąpić trawnik, pokrywając ziemię lśniącymi liśćmi, podobnymi z kształtu do liści gduły. Paprocie leśne (*Aspidium Struthiopteris*) rosną dobrze w ziemiach lekkich, próchnicowych; konwalje w cieniu drzew nie tylko wytwarzają obfite liście, ale nawet kwitną obficie, poziomki doskonale się zielenią, ślubojawki (*Funkia*) rozwijają duże liście zielone albo białe obrzeżone, i z roku na rok coraz więk-

sze tworzą kępy. A liczne pierwiosnki, *Sedum*, *Saxifraga*, wdzięczny barwinek (*Vinca*) dopełniają pobieżnej bardzo listy bylin, które w zupełnym cieniu posadzone, zdobić będą trwale nasze ogrody.

Więc jeśli park zdziczał, jeśli wskutek zaniedbania, czy nieumiejętnej opieki wyzbył się dawnego uroku, to jeszcze nie jest stracony. Gdzie gąszcz za duży, tam siekiereą wzięwszy do pomocy, trzeba wpuścić

śłońca promienie i fali świeżego powietrza dostęp otworzyć, a obnażone pnie drzew uda się osłonić pięknymi krzewami, znośzącymi cień, poświęcając dla nich część wybujałych krzewów pospolitych. Umiejętnie przeprowadzone odmłodzenie nie zniszczy cennego, sędziwego drzewostanu, lecz odziewe go w nową szatę i ze starego zawilgoconego lamusa zrobi znowu miły salon, pełny kwiecica, barwy i woni.

Stan. Schönfeld.

DAWNIEJ I DZISIAJ

To tak niedużo, te lat dziesięć, a jakże się wszystko zmieniło, zmieniło pod względem materialnym na gorsze.

Przeciętny inteligent zarabia tyle, że z dnia na dzień przeżyć może, z przerażeniem myśląc o coraz trudniejszym znalezieniu zarobku, o coraz szersze kręgi zataczających redukcjach. Książki nie idą, pisma, rosące jak grzyby po deszczu — również prędko jak grzyby znikają, obrazów nikt nie kupuje, tembardziej rzeźb, ba nawet wytworów sztuki stosowanej, poezji nikt nie czyta, na pięćdziesiąt utworów dramatycznych jeden widzi światło ramy, teatry świecą pustką, sale koncertowe jeszcze bardziej, bracia artystyczna, przed paru laty jeszcze tak sobie życie w niepodległej Polsce chwalała, wzdycha tylko ciężko i marzy o lepszych czasach. Nawet adwokaci się skarżą, że ludzie procesów unikają, aby nie mieć wydatków, nawet lekarze na brak pacjentów się uskarżają.

Właściciele listów zastawnych i hipotek dawno przymierają głodem, właściciele realności miejskich, bądźmy szczerzy, krokodyle łyż ronią. Ziemianie, ci ziemianie, co trzy lata temu nie wiedzieli co robić z tem, co żartobliwie „melonami” zwali, dzisiaj nie są w stanie opłacić bieżących i nadzwyczajnych, nieobliczalnych i nieprzewidywanych danin i podatków. A tu święta nadchodzą, podarki, choinki i Wilja. Ta wilja tradycyjna, dzień w którym członkowie jednej

rodziny z dalekich stron spieszą, aby zasiąść wszyscy razem przy jednym stole, zapomnieć o smutkach i kłopotach, odpocząć w gronie swoich, złożyć z głębi serca płynące życzenia, przełamać się opłatkami i spożyć dania tradycją wieków uświęcone. Jak daleko brzmi polska mowa, jak daleko wpływ kościoła katolickiego sięga, w kraju i na obczyźnie nawet, wszędzie zasiadają ludzie o pierwszej gwiazdce do wspólnego stołu, nakrytego na sianie. Przeszły do legendy wilje o dwunastu rybnych daniach, o rybach tak olbrzymich, że na żadnym, największym półmisku się nie mieściły, a robiono pod nie specjalne deski, oszyte serwetami. Pozostał natomiast w wielu częściach kraju zwyczaj, że w dniu tym państwo i służba razem do stołu siadają.

Wszędzie uważają, aby liczba osób siadających do stołu była parzysta, a przynajmniej nie było fatalnej trzynastki, w rozmaitych okolicach liczba dań spożytych powinna być nieparzysta, i wilja zakończona koniecznie rozmaitemi rodzajami zboża: pszenicą i grochem, fasolą i pęczakiem jęczmieniem, soczewicą i kisielem owsianym, wszystko to podlane sytą miodową. Niepokosztowanie któregoś z tych przysmaków miało grozić nieurodzajem danego gatunku zboża — i pamiętam, w dzieciństwie, jak matka moja, amatorka koni, z obrzydzeniem przełykała łyżeczkę owsianego kisielu — aby owies obrodził i jej faworyty miały

pełne żłoby. Czuję, że zupełnie odbiegłam od tematu, miałam pisać o daniach wilijnych, a wjechałam na tradycyjne obyczaje, na wspomnienia... Otóż w dzisiejszych trudnych czasach jedna, najwyżej dwie ryby wystarczą zupełnie, jeżeli damy jedną zimną, to drugą gorącą, jeśli jedną gotowaną, to drugą smażoną, — najbardziej używane są ryby krajowe: szczupaki i okonie, karpie i liny, leszcze i sandacze, karasie, sielawy i stynki. Wykwintniejsze: łososie, jesiotry i pstrągi zjawiają się tylko na bardzo wystawnych wiljach, natomiast wszędzie figurują barszcyki czerwone, lub grzybowe z nieodzownymi uszkami, zupy migdałowe, lub sago na winie, kapusta w postaci pierożków, pasztecików, pasztetu w kruchem cieście, lub poprostu duszonej z grzybami, wszędzie między wymyślniejszymi deserami śliżyki lub łamańce z makiem i miodem, przeróżne strucle i na całych kresach wschodnich niezbędny kisielek. Chcąc się poinformować o obyczajach i innych dziedzinach, zapytałam poznaniankę, co tam jadają na wilję, odpowiedziała mi, że zaczynają od sznytek ze śledzia, pokrytych bitą śmietaną, poczem następuje zupa mleczna z gruszkami lub grysikiem.

...Co kraj, to obyczaj, jak zdobędę wiadomości o tem, co jadają we wszystkich krajach Rzeczypospolitej od Bałtyku po granice Rumunii, nie omieszkać się podzielić z czytelnikami „Bluszczu”.

Pani Elżbieta.



WIECZERZE WIGILIJNE

WILJE NAJSKROMNIEJSZE.

- 1). Zupa grzybowa, zabelana z kaszą perlową.
Pierogi grzybowe gotowane z rumianem masłem.
Śledzie smażone w klarze z kwaśną kapustą.
Kluski z makiem i z miodem.

- 2). Zupa rybna z kluskami krajanami.
Okonie z jajami i z kartoflami.
Kapusta duszona z grzybami.
Kisielek żurawinowy.

- 3). Barszcz czysty, buraczany z uszkami.
Śledzie z kartoflami.
Kotlety z ryby z szarym sosem.
Kompot z owoców suszonych.

- 4). Barszcz buraczany, czysty z fasolą.
Paszteciki drożdżowe z kapustą.
Kotlety kartoflane z grzybowym sosem.
Łamańce z makiem.

WILJE SKROMNE.

- 1). Śledzie z kartoflami pieczonemi.
Czysty buljon grzybowy z uszkami.
Sandacz w galarecie, — chrzan z octem
Gołąbki z kapusty faszerowane ryżem z grzybami.
Sielawy smażone z cytryną.
Krucze ciastka z makiem.

- 2). Śledzie siekane z jabłkami, kartofle z wody.
Czysty barszcz buraczany, uszka grzybowe pieczone.
Karp z szarym sosem.
Kapusta duszona z grzybami.
Sandacz smażony, — sezonowa sałata zielona.
Kisielek czekoladowy.

- 3). Sałatka jarzynowa z musztardowym sosem.
Rosół z ryby z kluseczkami krajanami.

Liny w śmietanowym sosie z kartoflami.
Kapusta włoska pod beszamelem.
Kotlety z ryby, sałata z czerwonej kapusty.
Kompot z owoców suszonych.

- 4). Śledzie wędzone, faszerowane.
Czysty barszcz buraczany z grzybowymi uszkami.
Szczupak z chrzanowym sosem.
Paszтет z kapusty w naleśnikach.
Sielawy smażone z cytryną.
Krem śmietankowy, waniljowy.

WILJE WYSTAWNIEJSZE.

- 1). Przekąski: Śledzie uliki, grzybki marynowane.
Sałata włoska z jarzyn w sosie majonezowym.
Łosoś wędzony.

Buljon czysty, grzybowy, uszka grzybowe, pieczone w kruchym cieście.

Zupa migdałowa z ryżem.
Sandacz w majonezie, sos tatarski.
Kapusta duszona z grzybami.
Karp z szarym sosem rodzenkowym.
Groszek zielony (z konserwy) okładany grzankami.
Sandacz smażony „Orly” z cytryną.
Krucze ciastka z makiem.
Galareta ponczowa (cytrynowa z rumem).

- 2). Przekąski: Sardynki, rydze w occie.
Wątróbka miętusa w galarecie.
Sig wędzony.

Czysty rosół z miętusa.
Paszteciki z ryby we francuskim cieście.
Sago na winie.
Karp na niebiesko, kartofle z wody, masło sardelowe.
Budyń ze słodkiej kapusty z rumianem masłem.

Szczupak faszerowany po żydowsku na zimno, sos, chrzanowy ze śmietaną.
Bulwa włoska, sos biały ze słodkiej śmietanki.

Stynki smażone z zieloną sałata sezonową.

Łamańce z makiem.

Kompot z czereśni (konserwa).

- 3). Przekąski: Tartinki z „anchoies” z jajkiem.
Sałata z selerów z sosem majonezowym.
Węgorz wędzony.

Barszcz czerwony z uszkami.

Zupa migdałowa z ryżem.

Sandacz w galarecie, sos tatarski.

Makaron włoski zapiekany z grzybami i parmezanem.

Łosoś z kartoflami z wody i z sosem pomidorowym.

Kalafjory z masłem i bułeczką.

Karpie smażone z kwaśną kapustą.

Szarlotka z jabłek.

Kompot mieszany w galarecie z wina.

- 4). Przekąski: Jaja w sosie majonezowym.
Łosoś wędzony.
Tartinki z kawiozem.

Rosół czysty z jezgany, paszteciki z grzybami we francuskim cieście.

Muszelki z jezgany zapiekane pod beszamelem

Liny zapiekane z sosem cebulowym.

Budyń kalafjorowy z białym sosem, śmietanowym.

Sandacz po polsku z jajami, kartofle z wody.

Grzyby prawdziwe duszone w śmietanie (z konserwy).

Leszcz pieczony, nadziewany jak kurczę zielona sałata sezonowa.

Krem makowy obłożony kruchymi ciastkami.

Kompot ze śliwek francuskich.

Pani Elżbieta

PRZEPISY GOSPODARSKIE

ŚLEDZIE SIEKANE Z JABŁKAMI.

Dwa spore śledzie, najlepiej białe, wymoczyć, obrać ze skórki, usunąć ości, odjąć głowy i ogony, które należy przechować. Dwa duże kartofle ugotowane obrać z łupin, dwa spore jabłka, winkowate, kwaskowe i dwie średnie cebule, słodkiego, a nie ostrego gatunku, obrać ze skórek, przepuścić to wszystko razem przez maszynkę do mięsa, popróbować czy dosyć słone, opieprzyć lekko, uformowane dwa śledzie ułożyć na półmisku, przyłożyć głowy i ogony. Ukarbować po-

wierzchu maczaną w wodzie łyżeczką, połączyć obficie dobrą oliwą, niech tak godzin parę postoją, przed podaniem na pół godziny połączyć do brym octem lub sokiem cytrynowym. Podawać do wódki, lub też do obiadu z gorącymi kartoflami z wody.

ŚLEDZIE WĘDZONE, FASZEROWANE.

Dwa duże śledzie wędzone obrać z ości i ze skórek, oddzielić głowy i ogony i przechować te ostatnie. Cztery średnie kartofle ugotowane i piętnaście deka śmietankowego

masła przepuścić wraz ze śledziami przez maszynkę, opieprzyć, wlać parę łyżek rybnego rosółu, lub chociaż gorącej wody, wyrobić łyżką masę, aż się stanie zupełnie jednolita. Uformować z tego zgrabne śledzie, ukarbować łyżeczką, maczaną w wodzie, przyłożyć głowy i ogony i podawać do przekąski.

KARP PO POLSKU.

Oczyszczonego dużego karpia około dwóch kilo, osolic wewnątrz i zewnątrz i zalać wrzącym octem, przykryć serwetą naczynie, niech

tak postoi z godzinę. W rondlu nastawić czarne piwo, po połowie z wodą, w takiej ilości, aby rybę tylko objęła, wlać dwie łyżeczki karmelu, zrobionego z łyżki podpalonego cukru, pokrajane w paski dwie duże cebule, jedną marchew, pietruszkę, porę i pół selera. Włożyć listek, pieprzu, ziela, dwa goździki i skórkę cytrynową, jak najcieńiej skrajaną. Gotować w piwie, gdy wszystko zmięknie włożyć rybę a wraz z nią kawał spory podsitkowego chleba. Gotować na mocnym ogniu, potrząsając często, aby się nie przypaliło. Gdy ryba gotowa, odstawić, przykryć pokrywą i trzymać tak na boku blachy minut dziesięć. Potem rybę wyjąć na półmisek, sos przedko przefasować przez sito, włożyć weń sporą łyżkę śmietankowego masła, rozegrzać, nie gotując i połać nim rybę. Bardzo stary przepis mojej babki.

RYBA FASZEROWANA.

Często nie można, na prowincji szczególnie, dostać dużych ryb, gdy więc chcemy mieć dużą rybę faszzerowaną, możemy sobie poradzić w sposób następujący. Jakiegokolwiek drobne ryby oczyścić, tęym nożem zeszkrobać wszystko mięso z ości, głowy i ości z tych ryb zagotować z włoszczyzną, cebulą, pieprzem i listkiem na smak do ryby—przedzić przez gęste sito i zlać napowrót do długiej formy lub wanienki, w której mamy rybę gotować. Ze starego płótna uszyć długą torbę, zupełnie równą, rozmiarów zwykłego dużego szczupaka. Jeden koniec torby mocno zawiązać. Torbę wyparzyć mocno wrzątkiem, aby nie miała zapachu mydła, który nieraz po praniu w płótnie pozostaje. Rybę zeszkrobaną zważyć, na dwa kilo ryby wziąć cztery duże cebule, i pół kilo bułki pszennej, wymoczonej w mleku lub wodzie i mocno wyciśniętej. Przepuścić to wszystko razem przez maszynkę, osolić, popieprzyć, wsypać koperku zielonego, lub pietruszki (w braku świeżych można użyć suszone), wlać filiżankę roztopionego masła i trzy do czterech jaj, wyrabiać mocno ręką lub łyżką, dolewając dwie szklanki zimnej bardzo wody. Gdy masa gładka, nakłada się ją do torby, pozostawiając sporo miejsca swobodnego, gdyż farsz ten rośnie i torba mogłaby pęknąć. Torbę zawiązać mocno i włożyć na wrzący smak uprzednio przygotowany. Gotować dobrą godzinę narazie na wielkim, później na mniejszym ogniu.

Po ugotowaniu wyjmuje się z rondla, smak używa na przygotowanie sosu, jeżeli ryba ma być podana na gorąco, klaruje białkami i łupinami z jaj i doprawia żelatyną na

galarete, jeżeli ma być na zimno. Z dziesięć minut należy trzymać rybę na desce, poczem ostrem nożem przecinamy wzdłuż torbę płócienną i rybę krajemy na plastry, układając te ładnie na półmisku. Jeżeli ryba ma być podana na zimno, lepiej jest dać jej zastygnąć w płótnie, które należy rozciąć i zdjąć dopiero przed podaniem.

RYBA PO WŁOSKU.

Dużego (dwukilowego) sandacza, karpia lub lina, oczyścić jak zwykle, ułożyć na brytwannie, osolić, ponacinać na nim na ukos skórę, osypać zieloną pietruszką, utartą cytrynową skórką, odrobiną pieprzu, niech tak godzin parę postoi. Połać obficie najlepszą oliwą i wstawić w gorący piec. Zaglądać często, poruszać rybę, aby się nie przypaliła, polewać oliwą z brytwanny i paru łyżkami rosółu rybnego, lub wody. Gdy już upieczona osypać bułeczką zmieszaną z ostrym serem i jeszcze raz zrumienić. Podawać z cytryną, pokrajaną w ćwiartki lub z sosem pomidorowym.

STYNKI LUB SIELAWY SMAŻONE W KLARZE.

Średniego rozmiaru stynki, lub sielawy oczyścić i osolić na godzinę. Rozbić dwie szklanki mąki i łyżeczkę soli z czterema białkami, dodać dwie łyżki oliwy i tyle wody, aby ciasto było gęstsze, niż na naleśniki. Maczać w tem rybki i smażyć na bardzo obficie rozpuszczonem maśle, szmalcu, oliwie lub oleju. Dobrze zrumienione osączyć na bibule i podawać z kwaśną kapustą, cytryną, pokrajaną w ćwiartki, lub jaką zieloną sałatą.

ŚLEDZIE SMAŻONE W KLARZE.

Szklankę mąki rozbić z dwoma żółtkami i taką ilością wody, aby ciasto było nieco gęstsze, niż na naleśniki. Białka ubić na sztywną pianę, ciasto trochę osolić, maczać w niem połówki śledzi dobrze wymoczonych i obranych z ości ale ze skórką pozostawioną na nich, aby się nie rozpadły. Smażyć na szmalcu, oliwie lub oleju, gdyż na maśle się łatwo przypalają. Tłuszczu powinno być dużo, aby prawie w nim pływały. Gdy się z obu stron dobrze zrumienią, dać osiąknąć na bibule i układać na półmisku. Można do nich podać sos rumiany, kaparowy, korniszonowy, lub pomidorowy.

KRUCHE CIASTKA DO MAKU.

Cztery szklanki mąki, szklankę cukru, cał wanilji utłuczonej z cu-

krem, łyżkę dobrego, tłustego masła i tyle gęstej śmietany, aby można było zagnieść twarde ciasto, pół łyżeczki soli i tyleż sody, wyrabiać bardzo długo, aż ciasto zupełnie od ręki i stolnicy odstanie i nabierze jednostajnego połysku. Zrobić dużą kulę, włożyć w miskę i wynieść na parę godzin na chłód. Wałkować potem, cienko bardzo i małym kieliszkiem likierowym wycinać malutkie ciastka. Piec natychmiast w średnio gorącym piecu do zrumienienia. Gdy wszystkie upieczone, zsypać do szklanego słoja, zawiązać szczelnie pergaminem, i trzymać chociażby parę tygodni przed użyciem. Przed obłożeniem niemi maku z miodem, utartego na wilję, wsunąć na kilka minut do letniego pieca, aby były bardzo kruche.

SER JABŁECZNY.

Upiec kwaskowe jabłka, przefasować przez sito lub durszlak odważyć tę masę. Na sześć funtów masy brać cztery i pół funta cukru (lub na dwa i pół kilo masy dwa kilo cukru będzie wtedy słodszy). Masę jabłeczną gotować, czy raczej smażyć w rondlu samą, bez cukru, całą godzinę, mieszając kopyską, aby nie przyskała. Potem dodaje się cukier i smaży już razem, wciąż mieszając aby do dna nie przystawało. Dodać skórki pomarańczowej, (jeśli używamy suszoną, należy ją wpierw ugotować), drobno pokrajanego, cynamonu i goździków utłuczonych dwie łyżeczki. Dosmażać na wolnym ogniu, próbując na zimnym talerzu, jeżeli zastyga i twardnieje, ma dosyć. Głębokie talerze osypać cukrem, (pudrem) i na nie wylewać serki. Gdy zastygną, wyrzucić, ułożyć na deseczki, pokryte pergaminem i nieco jeszcze dosuszyć w letnim piecu.

SEREK JABŁECZNY NA PRĘDCE.

Wziąć dwa kilo dobrej marmelady jabłecznej, takiej jaką przygotowujemy zwykle na zimę. Włożyć ją w rondel, dodać kilo cukru, pół szklanki skórki pomarańczowej drobno krajanej, jeżeli bierzemy skórkę pomarańczową smażoną, należy dać tylko 80 deka cukru), dwie łyżeczki cynamonu i goździków utłuczonych. Rozgotować w dwóch szklankach wody, dwa łuty kleju japońskiego „Agar“,—powinien być doskonale rozgotowany, aby śladu kawałków nie było. Zmieszać z masą jabłeczną i wylewać na talerze.

Gdy zastygnie, krajać.

Takich serków się nie dosusza, gdyżby się rozpuściły, są mniej trwałe od pierwszych, ale smaczne i kraja się doskonale. Pani Elżbieta.

DOBRE RADY

Aby meble dębowe odświeżyć — trzeba po zmyciu ich wodą z mydłem natrzeć je flanelą następującą masą: 4 części wosku żółtego i jedną część kalafonji rozpuścić na wolnym ogniu — po ostudzeniu wymieszać z jedną częścią olejku terpentynowego. Jak zupełnie zgęstnieje, nacierać meble, a po wyschnięciu trzeć czystym gałgankiem, żeby nabrały połysku.

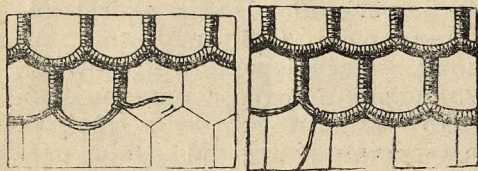
* * *

Aby zamrożone szyby oczyścić, należy rozpuścić soli kuchennej w zwyczajnej wodzie i maczając w niej gąbkę wycierać zamrożone szyby. Lód natychmiast topnieć zacznie.

Korespondencje działu praktycznego

Na życzenie wielu czytelniczek podajemy sposób robienia siatki, która stanowi tło w poduszce Nr. 895. Rys. 1 wskazuje pierwsze stadium roboty, rys. 2 — drugie.

Jeśli ktoś niema dostatecznej wprawy powinien, przeciągając nitkę zahaczyć ją o jedną nitkę płótna, którą się potem przy wycinaniu przecina.



rys. 1

rys. 2

Odważnej.

Gdyńia bardzo potrzebuje podobnego i różnych innych sklepów. Wszystko się tam dopiero stwarza i rozwija. Sądzę, że interes może być doskonały — byle tylko był prowadzony umiejętnie, rachunkowo i energicznie.

Pani Z. Cz. z Radomia.

Nauki tkactwa udziela Pani Onichimowska, Krucza 19. Szkoła robót, lub Tow. Przemysłu Ludowego, Tamka 1, tam prowadzą kursy roczne, ale sądzą, że będzie Sz. Pani mogła dojść do porozumienia co do krótszego terminu nauki.

Pani H. H. w Płonnem.

Jedyna szkoła pielęgniarek w Warszawie i w Polsce jest „Warszawska szkoła pielęgniarek” przy

szpitalu Czerwonego Krzyża na Smolnej 6. Szkoła ta traktuje pielęgniarstwo jako poważny zawód — po ukończeniu dwuletniego kursu daje zdolnym i sumiennym uczniom duże prerogatywy. Wysyła na dalsze kształcenie zagranicę — i daje posady. Co do warunków materialnych zechce się Sz. Pani zwrócić Warszawa, ul. Smolna Szkoła pielęgniarek przy Szpitalu Czerwonego Krzyża.

Pani Sz. W. w Warszawie.

Chcąc nadać koronkom kolor niewarowy, trzeba je namoczyć w esencji z herbaty, lub w kawie czarnej bardzo mocnej. Próbować koloru na kawałku — można też wygotować 12 łutów kory brzozonej ususzonej i na proch startej — 12 łutów proszku z kory olchy czarnej i pół łuła galasu. Gotować przez godzinę, scedzić farbę z osadu, dobrać odpowiednią siłę na próbce, włożyć koronki i pogotować chwilę, dosypawszy do tej proporcji łyżkę soli Trzeba starannie wypróbować i dostosować ilość płynu do ilości koronek, żeby nie przefarbować.

* * *

Redakcja „Bluszczu” odpowiada stałym Czytelniczkom na wszelkie pytania, dotyczące życia domowego, gospodarstwa, mód, robót i t. d. Listy należy adresować do redakcji działu praktycznego, załączając znaczek pocztowy na odpowiedź i dokładny swój adres.

Na listy anonimowe, względnie bez adresu, Redakcja odpowiadać nie będzie.

Odpowiedzi są załatwiane kolejno, a wobec wielkiego napływu listów, nie zawsze mogą być umieszczone w najbliższym numerze „Bluszczu”.

Opis sukien i robót do Nr. 50

957. Paltocik z angielskiej wełny dla dziewczynki od lat 6 do 8.

958. Paltocik z wełny w kratę dla dziewczynki dwunastoletniej.

959. Paltocik z szarego zamszu dla czternastoletniej panienci.

960. Spódnica w kratę z sukienka, żakiet obszywany futrem, dla młodej panienci.

961. Suknia z popeliny, koloru parme, przybrana jaśniejszymi falbankami.

962. Suknia z brązowego sukna, przybrana futrem.

963. Suknia z granatowej wełny, kołnierzyki i żabot białe, z granatowym naszytciem.

964. Palto z popielatego zamszu, przybrane lisami.

965. Żakiet z kałanków, kołnierz i mankiety z pantery

966. Palto aksamitne, przybrane haftem i futrem.

967. Okrycie balowe z brokatu deseniowego, przybrane białymi lisami.

968. Palto brązowe, przybrane haftem i futrem.

969. Bluzka z cienkiego sukienka, szyta w pasy drobniotkich zakładeczek.

970. Bluzka wełniana, przód układany w fałdki

971. Napierśnik z batystu w groszki.

972. Kombinacja z surowego jedwabiu, układana w fałdki.

973. Majtki z opalu, obszyte koronką.

974. Kombinacja z crêpe de chine'u różowego.

975. Szlafrok z deseniowego materiału, dół i przybranie gładkie.

976. Wzór na poduszkę — aplikacja. Wielkość nat. 39 cm. średnicy.

977. Wzór na teczkę, haft kolorowy. Wielkość naturalna.

Korespondencję, dotyczącą mód i robót, należy kierować oddzielnie do Redakcji dodatku mód. Zamówień nie należy skuteczniać na blankietach czekowych P. K. O

Nadesłane do Redakcji

(Za dział ten Redakcja nie odpowiada)

Z DZIEDZINY KOSMETYKI

P. Z. Z. Gęsią skórę z łokci usunie Pani stosując PATE DE PRELATS Odświeża twarz doskonale płynny GOLD-CREM ABARIDOWY, którym nacierać twarz kilka razy dziennie, a który nie tylko, że nie zostawia tłuszczu na twarzy, ale przeciwnie odtłuszcza ją, szczególnie o ile na noc Pani stosuje KREM ABARID.

P. M. K. Do mycia twarzy radzimy stosować OTRĄBKI ABARIDOWE, które doskonale oczyszczają pory skóry. jednocześnie ściągając takowe. Bardzo dobrze byłoby dodawać do wody 1/2 łyżeczki PLYNU ABARID, który nadaje twarzy matową białość, a przy stałym użyciu zapobiega opaleniznie.

M-me Er ced è s.

Wymienione tu środki można nabywać we wszystkich drogerjach i perfumerjach.

Skład główny: Warszawa, Szpitalna 10, „Perfection”.